

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 16 września 1911. Nr. 37.

Zgon kardynała Puzyny.

(Treść na str. 2).



Nr 37. „Nowości illustrowanych" zawiera: Nowy gmach Ligi Pomocy przemysłowej we Lwowie. — Kradzież Gioccondy. — Przyszła cesarzowa austryacka. — Uwolnienie inżyniera Richtera. — Wojna w czasie pokoju. — Popisy orkiestry włościańskiej w Krakowie. — Katastrofa kolejowa we Lwowie. — Wystawa przemysłowo-spożywcza w Warszawie i t. d.

Sensacyjne zdjęcia fot. z procesu hr. Ronikiera. — Pogrzeb Jego Eminencyi księcia Kardynała Puzyny.

Zgon kardynała Puzyny.

(Do illustracyi tytułowej i zamieszczonych w tekście.)

Dzwon Zygmunta rozlegający się w piątek popołudniu z Wawelskiego wzgórza, obwieścił światu, że osieroconą została krakowska stolica biskupia. Te same dźwięki, które przed siedmnastu laty witały nowego pasterza, gdy wkraczał do stolicy Piastów i Jagiellonów, zamknęły znów jeden rozdział w jej wiekowych dziejach, rozdział, który zapisany być winien złotemi głoskami. Od pierwszej chwili swej kapłańskiej działalności, aż do ostatniego niemal tchnienia szła praca ś. p. kardynała Puzyny jednym torem, a przyświecało jej przeświadczenie, że świętej sprawie trzeba oddać wszystkie siły ducha i ciała, zapomnieć o sobie, żyć tylko dla niej i przez nią. Czy to w Przemyślu, we Lwowie, czy w Krakowie, pozostawił ślady tej zbożnej pracy i działalności, które przetrwają wieki i podadzą Jego nazwisko wdzięcznej pamięci potomności. Od wschodnich kresów polskości, gdzie w każdym nowym kościółku, powstaje warownia języka i narodowości, po skraj zachodni, do stóp Wawelu, gdzie trzeba było utrzymać i wzmacniać wielką spuściznę katolickiej Polski, przeszedł kardynał Puzyna z krzyżem w ręku cały ten kawał ziemi ojczystej, zostawiając trwały ślad swej drogi w życiu Kościoła i narodu. Nie tylko nauczał, organizował i radził, ale, co najważniejsza sam święcił wszystkim budującym przykładem, bo żyła w Nim myśl, która widzi w działaniu potęgę, myśl twórcza i celu świadoma, gardząca wszelką połowicznością, a rozgrzewana miłością świętego dzieła.

Jan z Kozielska kniaź Puzyna, książę biskup krakowski i kardynał św. rzymsko-katolickiego kościoła przyszedł na świat w majątku ojczystym Gwoźdźcu pod Kołomyją w dniu 13. października 1842, jako najmłodszy syn Romana i Hortenzyi z Dwernickich, córki zwycięzcy z pod Stoczka.

Po ukończeniu szkół średnich we Lwowie i Stanisławowie zapisał się na wydział prawa uniwersytetu lwowskiego, a uzupełniwszy studya w Pradze, otrzymał w roku 1868 stopień doktora obojga prawa i poświęcił się karyerze urzędniczej



Zgon kardynała Puzyny: Jego Eminencya ks. kardynał Jan z Kozielska Puzyna.

(Ostatnia podobizna Zmarłego, sporządzona w roku ubiegłym przez fotografa „Nowości illustrowanych").

w krajowej dyrekcyi skarbu, gdzie dosłużył się stopnia komisarza. Siedm lat przepędził na tem stanowisku, na którem mu było jednak za ciasno. W tym czasie zbudziło się w sercu młodego człowieka powołanie do stanu kapłańskiego, za którem też poszedł po dokładnej rozwadze i odbywszy rekolekcye w Starej Wsi, wstąpił w r. 1875 do seminaryum duchownego w Przemyślu. Z rąk ks. biskupa Hirschlera otrzymał ks. Jan w r. 1878 święcenia kapłańskie i podążył zaraz do ukochanego Gwoźdźca, by w kościele rodzinnym odprawić pierwszą mszę świętą.

Pierwszym etapem w karyerze duchownej ks. Puzyny był wikaryat w Przeworsku, skąd już w roku następnym powołano uzdolnionego kapłana na kanonię gremialną fundacyi hr. Drohojowskich w Przemyślu.

Tutaj zajął się przedewszystkiem restauracyą katedry oraz organizacyą seminaryum duchownego, którego został rektorem. Szczególniej w tym ostatnim kierunku położył niespożyte zasługi, zdobył wielki wpływ na swych uczniów i ich serca, w które wrył się na zawsze dzięki owocnej i pełnej poświęcenia pracy nad ich doskonaleniem.

Po dziesięciu latach ciężkiej a wydatnej pracy powołano go do Lwowa jako biskupa-sufragana. Święcenia biskupie otrzymał w Rzymie z rąk J. Em. kardynała Ledóchowskiego, jako biskup tytularny memficki.

Działalność ks. biskupa Puzyny, jako sufragana lwowskiego, zapełnia jedną z najpiękniejszych kart jego życia. Wschodnia część kraju wymagała wyjątkowych prac i zabiegów, brakowało kościołów i duchowieństwa, a polska i katolicka ludność musiała często zwracać się do duchowieństwa ruskiego i uczęszczać do cerkwi. Rozpoczął więc energiczną pracę nad budową kościołów i kaplic, wychodząc ze założenia, że każdy kościół tam zbudowany i każda kaplica, to zarazem dom Boży i twierdza narodowa. Podjął także starania około pomnożenia i należytego przygotowania duchowieństwa polskiego do twardej służby, a akcya ta rozwinięta na szeroką skalę, przyniosła pożytek dla wiary i narodu.

Piękną pamiątką pobytu ks. Puzyny we Lwowie pozostanie inicyatywa jego w założeniu kościoła św. Elżbiety w robotniczej dzielnicy miasta. Gdy po śmierci ks. kardynała Albina Dunajewskiego



Zgon kardynała Puzyny: Zwłoki Jego Eminencyi przybrane w szaty pontyfikalne.



Zgon kardynała Puzyny: Tłumy ludu odwiedzające zwłoki Zmarłego.

zawakowała krakowska stolica biskupia wola monarchy powołała go na to zaszczytne a jednak odpowiedzialne stanowisko. — W roku 1894 zamianowano ks. Puzynę księciem-biskupem krakowskim. Od czasu uroczystej intronizacyi, która odbyła się w katedrze wawelskiej w dniu 17 lutego 1895 roku rozpoczął ks. biskup pracę pasterską z energią i poświęceniem. Przedewszystkiem zajął się restauracyą kościoła katedralnego, którą też doprowadził



Zgon kardynała Puzyny: Orszak pogrzebowy opuszczający pałac biskupi.

szczęśliwie do skutku, uratował też drugi prastary zabytek, Tyniec, od pewnej zagłady i zupełnego zniszczenia, zrzekając się części swych apanaży w zamian za okrojone latyfundya tynieckie.

Zajmując się szczególniej stroną religijnego ducha wśród podwładnego duchowieństwa, główną uwagę zwrócił na wychowanie kleryków, które ujął w swe ręce i wyjednał utworzenie biskupiego seminaryum duchownego, nad którem sam objął kierownictwo. W murach wspaniałego gmachu, wznoszącego się u stóp Wawelu, spędzał wszelkie wolne chwile, stykając się osobiście z klerykami i zdobywając sobie ich serca. Jemu także zawdzięcza powstanie, t. zw. małe seminaryum, w którem znalazło pomieszczenie corocznie po kilkudziesięciu młodzieńców, utworzenie, raczej reaktywowanie sufraganii i muzeum dyecezyalnego.

W r. 1901 powołany został zasłużony książę biskup w skład kollegium kardynalskiego, i jako jego członek wziął po śmierci Leona XIII. udział w *conclave*. Rola, jaką wtedy odegrał, dała powód do ostrych ataków pewnych odłamów prasy na osobę ks. kardynała. Był ponadto członkiem austryackiej Izby Panów i Sejmu galicyjskiego.

Książę kardynał w życiu publicznem, o ile ono nie miało związku z Kościołem, nie brał prawie zupełnie udziału, w życiu prywatnem przestrzegał wielkiej prostoty i ascetycznej prawie wstrzemięźliwości, odmawiał sobie wszystkiego, a całe dochody biskupie przeznaczył na dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia. Nie szukał przy tem rozgłosu, czynił wiele dobrego, ale tak, by o tem nikt prócz obdarowanych nie wiedział. Pracował z wytężeniem przez dzień cały, nawet wtedy, gdy już obłożnie zachorował. I w czasie wypoczynku wakacyjnego na Bielanach nie przestawał się zajmować sprawami swej dyecezyi, która zaliczy Go w poczet swych najznakomitszych kierowników.



Wystawa przemysłowo-spożywcza na Dynasach w Warszawie: Uroczyste otwarcie wystawy wobec zaproszonych gości. 1. gener. gubernator Essen. 2 Józefowa Wegnerowa. 3 prezes wyst. W. Matyjewicz. 5. wiceprezes Rekiert. 6. sekretarz Pruszkowski. 7. F. Kwaśniewski, redaktor „Kurjera Wystawy". Dyrektorzy wystawy: 8. Kowalewski i 9. Piątkowski.

Od dłuższego czasu cierpiący, ciężką pracą stargał do reszty swe zdrowie i już przed rokiem zaniemógł poważnie. Z dnia na dzień pogarszał się stan zdrowia pomimo nadzwyczaj troskliwej opieki lekarza domowego dra. Buzdygana. Ostatnie tygodnie spędził dostojny pacyent na łożu boleści lub w fotelu, troszcząc się ciągle o sprawy dyecezyi, aż wreszcie w dniu 8 września popołudniu uległ niemocy i zakończył zasłużony i pracowity żywot.

Przy łożu konającego zebrali się członkowie kapituły z ks. biskupem Nowakiem, uczniowie małego seminaryum i O. Kapistran Podwysocki z zakonu Bonifratów, który w ostatnich czasach dniem i nocą nie odstępował chorego ks. kardynała, pielęgnując go prawdziwie po samarytańsku.

Pogrzeb zmarłego księcia Kościoła odbył się w Krakowie z ogromną okazałością. Wziął w nim udział zastępca cesarza hr. Gudenus, ministrowie hr. Stürgkh i Zaleski, marszałek krajowy, namiestnik i wielu innych dygnitarzy cywilnych i wojskowych, zjechali się też prawie wszyscy biskupi galicyjscy i setki duchowieństwa.

Zwłoki złożono na wieczny spoczynek w podziemiach katedry wawelskiej.

Śmierć kardynała Puzyny, która głębszem echem odbiła się po całym obszarze ziem polskich, dała też sposobność niektórym odłamom prasy do wytoczenia dział najcięższego kalibru, skierowanych przeciw osobie Zmarłego. Miał On bezsprzecznie wielu wrogów, niestety nawet pomiędzy swymi podwładnymi, z czasem jednak, gdy krytycznie zechce się społeczeństwo zapatrywać na Jego działalność, przyznać będzie musiało, że był to kapłan prawdziwie według ducha Bożego, że działał wedle najlepszej woli, a jeżeli i kiedy zbłądził, to nie Jego wina.



Wystawa przemysłowo-spożywcza na Dynasach w Warszawie: Przyjęcie zaproszonych gości w dniu otwarcia przez wystawców.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

17)

To ostatnie beczenie zwrócone było do Siergieja wraz z wywieszeniem języka w całej jego długości, poczem Ferdzio skoczył do małego stoliczka przy łóżku matki, wyciągnął z niego szufladkę, schwycił teraz garść drobnych pieniędzy, z których część z głośnym brzękiem rozsypał po podłodze i biegnąc ku drzwiom koło asesora koleżskiego, jeszcze raz pokazał mu język i zabeczał jak baran:

— Meeee!

Siergiej Bolesławowicz oburzony tem do najwyższego stopnia, zerwał się na równe nogi krzycząc gniewnie:

— A malczyszka, mazurik!

I chciał biedz za rozlampartowanym chłopakiem zapewne w zamiarze doraźnego ukarania, ale niestety zapomniał o swych niefortunnych spodeńkach, które niepowstrzymywane rękami, nakoniec zadość uczyniły prawu powszechnego ciążenia i opadły na ziemię, ukazując oczom, a raczej jednemu oku pani Zenobii, takie wdzięki, jakie się zwykle starannie ukrywa.

Pani Zenobia, udając zawstydzoną, zakryła ręką jedyne oko i krzyknęła głosem oburzonej niewinności: ah! a zaraz potem groźnie rzekła:

— Zakryjże pan do pierona!

Z trudnością to wykonał Siergiej, z czego korzystając Ferdzio wymknął się z pokoju, śmiejąc się głośno i krzycząc:

— Nagus! nagus!

Pani Zenobia poczęła teraz surowe czynić wymówki swemu przyszłemu, że nazwał jej Ferdziasierotkę „mazurykiem", a co gorsza, chciał go bić.

— Da, jakże madam, bronił się Siergiej — on mnie język pokazał i beczał jak baran.

— To cóż? to jest dziecko, zwyczajnie chłopiec swawolny i zapowiadam acanu, że jak jeszcze raz palcem ruszysz na me dzieciąteczko z naszego małżeństwa kwita.

Musiał znowu uroczyście przysięgnąć biedny koleżski asesor, że zastosuje się do woli swej przyszłej małżonki, czem udobruchana pani Zenobia podniosła kwestyę smutnego stanu „niewypowiedzialności" Siergiejowych.

— Czy pan nie masz drugich spodni? — pytała.

— Ja miał, ale czort wie, kędy się zapodziały. Ale pan Stanisław obiecał mi kupić nowe.

— Pan Stanisław! akurat... czekaj tatka latka, a tu z pana opada wszystko i wstyd jeno porządnym kobietom pan sprawiasz. Nie możesz sobie pan kupić sam, nie czekać na pana Stanisława.

— Ja by mog, madam, no u mnie dienieg niema. Szabas w kieszeni.

Pani Zenobia pomyślała chwilkę, poczem sięgnęła do stoliczka mówiąc:

— No! — niech stracę. Masz pan tu pięć fajgli i idź jutro rano do miasteczka i kup se na żydkach nowe spodeńki.

Siergiej ucałował kosmatą łapę swej piękności i uszczęśliwiony z tryumfu, jaki odniósł, po krótkiej jeszcze rozmowie, opuścił nakoniec pokój swej narzeczonej.

XXIV.

Nazajutrz jeszcze Stanisław leżał w łóżku, gdy do niego przyszedł Antek Wiśniewski, namawiając go, aby z nim jechał do miasteczka X. gdzie ma się odbyć ogromny wiec i gdzie ma być proklamowaną rzeczpospolita. Ale Stanisław odmówił.

— Najprzód — tłumaczył się — jestem przeciwny rządom sfer mało-inteligentnych, rządom pewnej klasy ludzi, do tego nieprzygotowanej — potem nie wierzę w trwałość tej roboty. Rząd na chwilę może być oszołomiony przez wypadki, które go nagle zaskoczyły, ale wkońcu przyjdzie do siebie i wszelki ruch siłą zdusi. Zresztą, co mnie obchodzą wasze walki, sprawy, nadzieje, złudzenia? Wszystko to już było, wszystko minęło i wszystko kończy się nicością. Daj mi pokój!

A Wiśniewski skrzywił się chorobliwie, co, jak wiadomo, miało oznaczać uśmiech i rzekł:

— Taj, oczywiście dam ci pokój, tylko ci powiem, że w czasach takich, jak obecnie, nie jest wcale bezpiecznem i zdrowem, usuwać się od wszystkiego.

— Ba! — i cóż mi zrobią? Zabiją mnie? — wszak wcześniej czy później umrzeć trzeba. Śmierć na mnie tak samo, jak na innych czeka.

— Wiesz co? ten twój pesymizm i zgorzknienie i dziwna obawa śmierci, wygląda mi na rezultat wczesnego przeżycia się. Gdybyś tak jak ja od dzieciństwa walczył z nędzą, nie wiedział nieraz gdzie masz głowę na noc złożyć i co jutro do ust włożyć, nie myślałbyś o śmierci. Tyś wychowany jak panicz, nie zaznałeś nędzy i wreszcie wypiłeś kielich życia do dna, do szczętu. Stąd twój pesymizm...

— Tak myślisz?

— Tak, a i to dodam, że całą wartością życia, całym jego interesem i urokiem, jest właśnie walka. Gdyby jej nie było, nie byłoby warto żyć. Ale co ja ci to wszystko gadam. Szkoda na dysputy akademickie czasu i atłasu. Bądź zdrów, a tak się żegnają nie wrogi, ale dwa stojące na swych słońcach bogi. Czekają mnie tam.

— Czy i panna Aniela jedzie?

— Naturalnie, że jedzie. To dzielna dziewczyna, to kobieta przyszłości, żona nowego słońca.

— Jakoś zbyt poetycznie o niej się wyrażasz?

— Bo zasługuje na to. Bądź zdrów.

— Antku, strzeż się Jasińskiego.

— Głupstwo wierutne. Zawrócił wam głowę ten dureń z Petersburga i wy mu wierzycie. No! do widzenia. Jak wrócę, wszystko ci opowiem, jak i co było.

I pojechał.

W miasteczku, na tak zwanym rynku, na którym zwykle nierogacizna swobodnie się przechadzała używając rozkoszy w wiecznych i zawsze cuchnących kałużach, lub żydki, rozstawiwszy swym Ryfkom i Chajom kioski około handlów i kramów, stawali w kupkach zastanawiając się nad tem, czy temu lub owemu „gojowi" można pożyczyć pieniędzy, wrzał teraz ruch nadzwyczajny. Napełniały go tłumy robotników, żydów i osobistości, które Bóg wie skąd się tu wzięły i o których nikt nie potrafiłby nic powiedzieć, młodych kobiet w nędznych, zniszczonych okrągłych kapelusikach słomkowych na głowach krótko ostrzyżonych, ubranych w czarne, wytarte sukienczyny i w buciki wykrzywione i ubłocone. Nad tym tłumem ruchliwym i wrzaskliwym unosiła się chmura kurzu, wzbitego nogami setek osób, zaduch ciał spoconych i brudnych, błyszczało czyste jak łza niebo lipcowe i jasne słońce. Wszyscy czegoś oczekiwali, co chwila wychylały się głowy rozglądające się dokoła, kręciły się owe młode kobiety z włosami ostrzyżonymi, przebiegali nieznani ludzie, szepcząc temu i owemu coś do ucha, rzucając półgłosem jakieś hasła i znaki.

Nakoniec na wzniesieniu, urządzonem z dwóch pustych beczek i deski na nich położonej, ukazała się kędzierzawa głowa Michaiła Srulowicza Mojsiejewa, Litwaka, który niedawno przybył do X. trudnił się podobno lichwą i pogardliwie wyrażał się o swych współwyznawcach miejscowych, których stale nazywał „durakami".

Michaił Srulowicz Mojsiejew wszedł na owa improwizowaną estradę, kapelusz pchnął na tył głowy, spocone czoło obcierał chustką z wyobrażeniem diakiewskiego Soboru w Petersburgu i począł mówić po rosyjsku, ze szkaradnym akcentem, wymawiając gardłowo r, „istinnyj ruskij patryot" jak sam się zwykł był nazywać.

Rozpoczął od tego, że czas już skończyć z rządami „szlachty i ksiendzow", czas „burżujow polskich" wyrzucić z tego kraju, który wcale nie jest Polską, ale odwieczną dzielnicą żydowską, że naród polski wprawdzie kiedyś tu mieszkał, ale teraz jest to naród wymierający, że ta ziemia winna należeć do klasy robotniczej, do proletaryatu i żydów, którzy wszyscy są ludźmi postępowymi i utworzyć zamierzają z tego kraju istny raj; że trzeba dać przykład, skorzystać z chwili rozstroju, jaki panuje w sferach rządowych i ogłosić republikę socyalną.

Nie wszystko to podobało się robotnikom. Marcin Jabłoński, znany nam przyjaciel Stanisława, począł protestować głośno przeciw temu, jakoby ten kraj miał należeć do żydów, ale tłum nieznanych osobiście zakrzyczał go, a Michaił Srulowicz Mojsiejew mówił dalej, jaka to będzie ta socyalna republika, która ma powstać w X. Obiecywał złote góry, twierdził, że wyzysku w niej nie będzie, nie będzie kapitalistów, ani nędzy, wszyscy opływać będą w dostatki bo nastąpi podział dóbr.

Nie wszyscy go rozumieli, bo nie wszyscy władali językiem rosyjskim, mocno zresztą skażonym w ustach „istinnego ruskiego patryoty", ale ostatecznie to i owo pojmowali. Michaił Srulowicz wpadł w zapał, rzucał się jak opętany na estradzie, która pod nim trzeszczała, grożąc zawaleniem się, zapowiadał wypędzenie księży, zniesienie religii, wolną i niczem nie krępowaną miłość między kobietą i mężczyzną. Wzywał wkońcu do wybrania komisyi, któraby się zajęła urządzeniem i proklamowaniem republiki, twierdził, że dość jest broni, by przeciw zamachom na całość tej przyszłej republiki niepokonany stawić opór.

Tuż obok estrady stał Adam Jasiński, Antek Wiśniewski, Anielka i gromadka owych krótko ostrzyżonych, nędznych i zaniedbanych młodych kobiet, które każdą zapowiedź Michaiła Srulowicza, o rozkoszach i szczęśliwości, jaka czeka przyszłych republikanów, żywymi przyjmowali oklaskami i okrzykami. Trzeba nieszczęścia, że w chwili, gdy Srulowicz tłumaczył co to jest wolna miłość i że dzieci, zrodzone z takiego pożycia na wiarę, przyjmie republika na wychowanie, na rynku zjawił się koleżski asesor Siergiej Bolesławowicz Kozłowski.

Po wczorajszem sutem uraczeniu się przy obiedzie „oczyszczoną" i marzeniach, jakich doznał przy swych oświadczynach dozgonnej miłości nadobnej jednookiej Zenobii Kapuścińskiej, zaspał on nieco i dość późno zerwawszy się z łóżka, przypomniał sobie konieczność nabycia jaknajprędszego nowych „niewypowiedzialności", gdyż stare przy zbyt ryzykownych wysiłkach miłosnych dnia wczorajszego, stanowczo służby odmówiły. Wszak miał pięć „fejgli", danych mu łaskawie przez panią Zenobię, rzecz więc była wykonalna. Po niejakim namyśle, załatawszy jak mógł stare spodnie, tak, by się jako tako trzymały na grzesznem cielsku Siergieja, postanowił on nie tracić czasu, wybrać się do X. i dążyć do niego bocznemi drogami, przez pola, w obawie spotkania kogokolwiek, który mógłby słusznie roześmiać się na widok skandalicznej ruiny starych „inekspimabiów". Na swoje nieszczęście, Siergiej, zajęty wczoraj miłosnymi afektami ku kosmatej łapce pani Zenobii, nie wiedział wcale o mającem nastąpić w X. zgromadzeniu i ogłoszeniu rzeczypospolitej. Szedł więc śmiało, rachując, ile go spodnie „na żydach" kosztować mogą, licząc, że z pięciu rubli coś przecie zostanie i za tę resztę w handelku Szlomy Geldmachera będzie mógł bifsztyk sobie sprawić, w którym oczywiście narodowa „oczyszczona", główną rolę odegrać miała. W drodze przez pola żółcięjące dojrzewającem zbożem, nie spotkał nikogo i przez to nie naraził swej godności koleżskiego asesora na pośmiewisko i okrążając miasteczko wszedł na boczną, mało uczęszczaną uliczkę, którą chciał dostać się na rynek. Na rynku bowiem mieścił się skład starych ubrań i wszelkiego rodzaju rupieci, należący do Icka Szatensteina, znanego mu nieco, bo już u niego przehandlował starą „szepiel" urzędniczą, zgoła niepotrzebną w Prywislinii, która w buntowniczem swem usposobieniu śmie mieć cieplejsze słońce od metropolii, a w lipcu w kaloszach nie chodzi.

W uliczce ujrzał kilku żydków, biegnących ku rynkowi, ale że szli przed nim, więc nie mogli widzieć odwrotnej strony nadobnej postaci Siergieja, a zatem nie mogli oglądać tej ruiny „sztanów" niegdyś w Pitrze swą pięknością taką sensacyę czyniących.

— W Pitrze po Newskim, ja się w tych sztanach przechadzał — myślał sobie Siergiej — a tu w tej przeklętej Prywislinii jak złodziej ukrywać się muszę. Ot co zrobili pany i ksiendzy.

Trudno zaprawdę odgadnąć co za związek był między „polskimi panami i ksiendzami" a spodniami Siergieja, ale w tym umyśle zamroczonym jeszcze w używaniu wczorajszego uraczenia się „oczyszczoną" wszystko się dało pogodzić. Tak rozmyślając dostał się Siergiej na rynek i zdumiony widokiem tłumów i rozprawiającego Litwaka, Michaiła Srulowicza, przystanął.

— Czort zna co to takiego! mruknął do siebie:

Stał i patrzał, wsłuchiwał się przez chwilę w mowę Michaiła Srulowicza, ale nie wiele z niej rozumiał, zresztą zajęty sprawą swych „sztanów" machnął ręką mrucząc:

— Ot miateż, miateżince Prywiślinie!

I począł się przesuwać wzdłuż domów, przy których stały żydówki i mieszczki i komunikując sobie nawzajem swe spostrzeżenia, przypatrywały się niezwyczajnej scenie odgrywającej się przed ich oczami, nie biorąc w niej zresztą żadnego udziału. Miały zresztą dosyć zajęcia z bachorami i „dzieckami", które otaczały ich tłumnie, czepiały się ich spodnic, i korzystając z nieuwagi matek, za łby się po piasku wodziły.

Siergiejowi Bolesławowiczowi wszystko się to nadzwyczaj nie podobało, choćby z tego względu, że nie mógł już niewidzialny przemknąć się do kramu Icka Szatensteina i widokiem zrujnowanych haniebnie niewypowiedzialności, narazić na śmieszność

swą godność czynownika petersburskiego. Ale na to nie było już rady. Jak byk rozjuszony, gdy ujrzy czerwoną płachtę, biegnie ku niej, nie zważając na nic, tak Siergiej rzucił się naprzód pochylony, stara się biedz tuż przy ścianach domów, by jak najprędzej dostać się do sklepiku Icka. Co prawda, kobiety zajęte wiecem, nie wiele zwracały na niego uwagi i Siergiej byłby może niepostrzeżenie osiągnął swój cel, gdyby nie Adam Jasiński.

Właśnie Michaił Srulowicz Mojsiejewicz skończył swą mowę i chwilowo zapanowała cisza w zgromadzeniu, którą przerwał krzyk dwóch chłopaków, bijących się zawzięcie. Ten krzyk spowodował, że Adam Jasiński spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł przemykającego się po pod ścianami Siergieja Bolesławowicza.

Czuł on do biednego koleżskiego asesora głęboką nienawiść za to, że szpiegował jego czynności i parokrotnie głośno wypowiadał swe podejrzenia co do postępowania Jasińskiego. Podejrzenia te doszły do uszów urzędnika policyjnego, były mu bardzo nie na rękę i dawno już przemyśliwał on nad tem, jakby pozbyć się niewygodnego sobie człowieka. Dotąd nic nie wymyślił, nie miał bardzo czasu zająć się tą sprawą, ale teraz znalazła się sposobność jedyna pomszczenie się za wszystko.

W jednej więc chwili wyprostował się i wskazując palcem umykającego chyłkiem Siergieja, krzyknął tak głośno, że po całym rynku się rozległo:

— Szpicel! szpicel! Trzymajcie szpicla!

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku wskazanym przez Jasińskiego, a widok Siergieja biegnącego szybko, niejako potwierdzał krzyk Jasińskiego. Zaraz też kilkanaście głosów wrzasnęło:

— Szpicel! szpicel! ot tam! trzymaj, trzymaj!

Siergiej zamiast się zatrzymać i wreszcie stawić czoło grożącej mu burzy, powołać się na znajomość Szatensteina lub Geldmachera, wreszcie Antka i Anielki, przerażony tymi krzykami, nie pojmując zresztą o co idzie a nie przypuszczając, by to jego nazwano szpiclem, pragnąc jedynie jaknajprędzej dostać się do kramu Szatensteina wyciągał swe długie, żórawie nogi i zmykał jak zając.

To zwiększyło oburzenie tłumu. Kto ucieka zawsze budzi podejrzenie. Kilkudziesięciu mężczyzn rzuciło się w pogoń za Siergiejem, a Jasiński wciąż krzyczał:

— Łapaj! trzymaj szpicla!

Antek Wiśniewski, zajęty dotąd mową Michaiła Srulowicza, nie zwrócił zrazu uwagi na krzyk Jasińskiego, ale gdy ten krzyk powtarzać się zaczął, począł się oglądać szukając oczyma owego szpicla i spostrzegłszy szalenie uciekającego Siergieja, zrozumiał o co idzie, pojął całe niebezpieczeństwo grożące niefortunnemu koleżskiemu asesorowi.

Właśnie w chwili, gdy Jasiński w wściekłości swojej krzyknął: „z brauninga do niego! ubić go jak psa“, Antek schwycił swego kuzyna w pół i zawołał:

— Co pan u stu dyabłów robisz, to przecież Siergiej!

Lecz był on tam już niepotrzebny. Nagle rozległy się już jeden po drugim dwa głuche strzały, biedny Siergiej, rozkrzyżowawszy ręce, padł na ziemię, głosem płaczliwym zawoławszy po polsku:

— Jezus, Marya!

Dusza biedaka, choć w chwili skonu, w ostatnim drgnieniu swego zatraconego na obczyźnie żywota, jęknęła polskim, zapomnianym, gdzieś w głębi niby dyament cenny ukrytym, okrzykiem ojczystym. Leżał on teraz twarzą do ziemi, z rękami rozkrzyżowanemi, a krew połączona z mózgiem z rozbitej na drzazgi głowy, sączyła się wolno, rumieniąc piasek dokoła. Nad nim stał tłum na pół zdumiały, patrząc na swe krwawe dzieło, może czując żal w głębi serc swoich.

Zabitego jednak nie znał Michaił Srulowicz Mojsiejew. Skończywszy swą mowę, na krzyk Jasińskiego rzucił się w pogoń za Siergiejem i teraz zziajany, spocony dobiegł do trupa, popatrzył na niego, kopnął go nogą, cedząc pogardliwie przez zęby:

— Szpion!

Tak skończył Siergiej Bolesławowicz Kozłowskij, tak się rozchwiały słodkie nadzieje pani Zenobii Kapuścińskiej.

XXV.

Antek wieczorem wrócił wściekły i zdenerwowany do dworu w Górach. Zabójstwo Bogu duszę winnego Siergieja Bolesławowicza oburzyło go do głębi. Opowiadając o tem Stanisławowi i stryjaszkowi Józefowi unosił się, sękatą pałką, którą trzymał w ręku wywijał i odgrażał się Jasińskiemu:

— Ja tę psiakrew chyba ubiję — wołał — to łotr ostatni, zbój, morderca!

— Ostrzegałem cię — odezwał się na to Stanisław — byś się trzymał zdala od Jasińskiego, nie chciałeś mi wierzyć i oto rezultat.

— Nie podobał mi się zrazu — odrzekł Antek — ale wspólność idei pogodziła mię z nim. Któż mógł odgadnąć, że dopuści się takiej zbrodni?



Zmierzył i raz po raz dał ognia...

Potem począł opowiadać o ogłoszeniu rzeczypospolitej w X., wymyślał na mowę Michaiła Srulowicza, na owe krótko ostrzyżone i zaniedbane damy, które nazwał nihilistkami, głosującemi za wolną miłością, na ową zbrodnię, dokonaną na Siergieju i wogóle był mocno zniechęcony.

— Jeżeli najpiękniejsza idea — mówił — ma być przy narodzinach swoich krwią zbroczona, to niech ją dyabli wezmą.

— Taj serdeńko — odezwał się nagle stryjaszek Józef — astronomowie powiadają, że na niebie bywszy takie płachty kosmicznej materyi, które nie są jeszcze uorganizowanemi ciałami, ale chaotycznem skupieniem materyi wszechświatowej, z której kiedyś piękne i jasne słońce się utworzywszy. Nazywają oni te skupienia mgławicami. Otóż i ty i ten Jasiński, i ten hycel Litwak Srulowicz i wszyscy nihiliści w X ogłosiwszy rzeczpospolitą, jesteście taką mgławicą. Jakie z was kiedyś powstanie słońce, Bóg jeden wiedziawszy.

A potem uśmiechnąwszy się ironicznie dodał:

— Pewno, że żal tego Siergieja. Dureń to bywszy całkowity, ale zawsze człowiek. A Pismo św. powiada, nie zabijaj! Dopieroż to zmartwi się nasza wspólna kuzynka pani Zenobia Kapuścińska!

Gdy tak Stanisław jak i Antek wyrazili zdziwienie, dlaczego pani Zenobia ma się wyłącznie zmartwić śmiercią Siergieja, stryjaszek Józef uśmiechnął się i rzekł:

— Ale bo wy braciaszkowie mili, zajęci wielkiemi sprawami ludzkości, nic nie wiedziawszy, co się pod waszym nosem dzieje.

— Co się dzieje?

— To, serce moje, że Siergiej wczoraj oświadczywszy się o rękę pani Zenobii, otrzymał jej przyrzeczenie, a teraz wszystko dyabli wziąwszy. Tak to bywa na tym padole płaczu i zgrzytania zębów.

Wiadomość ta zdziwiła Stanisława i Antka i rozśmieszyła ich szczerze, a niebawem znalazła potwierdzenie głośne i krzykliwe. Do pokoju bowiem, w którym rozmowa powyższa się toczyła, wpadła nagle pani Zenobia z twarzą uczerwienioną, z peruką przekręconą fantastycznie i czepeczkiem o gorąco żółtych wstążkach, bujającym na jakiejś nitce, straszna, gniewna, groźna. Stanąwszy w progu i obrzuciwszy wejrzeniem jednego oka zebranych, zawołała:

— Czy to prawda, że Siergieja zabili?

— Niestety! — odrzekł Stanisław — prawda, właśnie się o tem od Antka dowiedziałem.

Więc pani Zenobia zalewając się łzami, które może tym razem były szczere, poczęła się wypytywać Wiśniewskiego o wszystkie szczegóły tego strasznego zdarzenia. Antek nie widząc powodu ukrywania prawdy, opowiedział jej cały przebieg tej niespodziewanej zbrodni, a gdy wskazał główny w niej udział Jasińskiego, przyczem nie szczędził barw, by odmalować całą ohydę tego czynu ze strony kuzynka, pani Zenobia zerwała się na równe nogi i nuż w najwyższem uniesieniu wołać:

— A zbój, a szychciarz, a szelma ostatnia! On pedział, co Siergiej jest szpicel, on, co sam jest szpiclem! A łajdak, oczy mu jak Bozie kocham, żebym tak jutra nie doczekała, wydrapię. Ja dawno chciałam panom pedzieć, abyście się strzegli Jasińskiego, bo on jest z policyi, z części, prawa ręka przystawa, on mu wszystko donosi, ale myślę sobie, co mu mam szkodzić, weźmie hycel szukczeszyą i pojedzie do Warszawy i nikt wiedzieć nie będzie, co on za jeden. — A przytem ja mam resztauraczyą, do godziny 10 tej tylko wolno ją mieć otwartą, a ja przez Jasińskiego to robię, że całą noc u mnie goście bywają. Ale tera ja mu nie daruje, nie daruję, żebym miała ostatni łach sprzedać, hycla zmarnuję. Co mi tera zrobi, nie mam to pieniędzy? dam łapówkę przystawowi i wszystko zrobię, a tego łajdaka zgubię. Ten szpieg, donoszczyk, on śmiał mego Siergieja nazwać szpiclem! czekajże rakarzu, zapłacę ci za to. Gdzie on jest? gadaj kużyn, gdzie on jest?

— Nie wiem — odrzekł Antek — nie widziałem go od kilku godzin. Został zapewne w miasteczku.

Jakoż w rzeczy samej Jasiński wcale nie powrócił do dworu w Górach, choć noc już zapadała, noc bezksiężycowa i chmurna. Wielki wiatr się zerwał i szumiał między lipami w alei prowadzącej do domu i w ogrodzie i szumiał posępnie. Zanosiło się na deszcz i burzę, bo od czasu do czasu dawały się słyszeć dalekie jeszcze grzmoty, ale zbliżające się ciągle. Co chwila wielkie, pół horyzontu ogarniające błyskawice, rozświecały ciemności nocne.

We dworze panował smutek, niesmak i zniechęcenie. Zabójstwo niewinnego Siergieja, pierwsza ofiara zawieruchy rewolucyjnej w tych stronach, przygnębiająco oddziałało na Stanisława. Antka, który wierzył w Jasińskiego i czuł się głęboko dotkniętym jego zbójeckim czynem, nawet na Anielkę, która zamknęła się w swoim pokoju i nie pokazała tego wieczoru, co jeszcze w fatalniejszy humor wprawiło Antka. Siedział on przy stole chmurny, zły, wsłuchując się w wycie wichru na dworze, a ogryzając namiętnie paznokcie, wzdychał niekiedy żałośnie, lub błędnemi, widocznie gdzieś zapatrzonemi oczyma spoglądał na panią Zenobię, która niestworzone rzeczy opowiadała o łajdactwach Jasińskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojna w czasie pokoju.

Armia austryacka odbywa corocznie wielkie ćwiczenia, mające wykazać jej sprawność i przygotowanie do operacyi wojennych. Popisy tego rodzaju prowadzone zupełnie w ten sam sposób, jak gdyby miało się do czynienia z prawdziwym nieprzyjacielem, są namacalnym dowodem, że pieniądze, jakie monarchia łoży na jej utrzymanie, nie idą na marne, jest bowiem wyszkoloną należycie i rozporządza wszystkiem, co jest koniecznem do prowadzenia nowoczesnej walki.

Jeśli jest prawdą, co powiadają powszechnie, że należycie wyszkolona armia jest najlepszą rękojmią pokoju, w takim razie możemy spać spokojnie, z żadnej bowiem strony nie grozi nam niebezpieczeństwo.

Tegoroczne manewry, tak zwane cesarskie, odbywają się na przestrzeni Przemyśl Rymanów-Dukla w kierunku ku Węgrom. Skonsygnowano tutaj blizko stotysięczną armię, złożoną z korpusów przemyskiego, lwowskiego i koszyckiego. Z wojskiem liniowem połączono i obronę krajową.

Plan operacyjny opiera się na założeniu, że od strony Zamościa wkroczyła suchą granicą armia nieprzyjacielska, zajęła twierdzę przemyską i posuwa się przez Sanok i Duklę ku przełęczy dukielskiej, której przejście chce sforsować i następuje na cofającą się armię południową.

Południowa armia opuściła przed kilku dniami Przemyśl, cofając się wedle planu na południe, opuszczoną zaś twierdzę zajęła armia północna, zostająca pod rozkazami jeneralnego inspektora armii arcyksięcia Fryderyka. W dniu 7 września przybył on do Przemyśla i tu założył główną kwaterę.

Cofająca się ku przełęczy dukielskiej armia południowa skierowała się na Krasiczyn i Dynów, wykonując po drodze skombinowane i bardzo uciążliwe marsze i obroty wojenne. W nocy przeprawiano się przez San koło Krasiczyna. W tym celu zbudowali pionierzy most pontonowy. Budowa mostu i przeprawa odbyły się zupełnie cicho i niepostrzeżenie.

W czasie tegorocznych manewrów, które w kołach wojskowych budzą ogromne zainteresowanie, wypróbowane mają być na wielką skalę najrozmaitsze najnowsze wynalazki i urządzenia, które mają ułatwić poruszanie się wojska, oryentacyę i zaprowiantowanie. Oprócz oddziałów pionierów, automobilów, telegrafów i telefonów polowych, balonów, ruchomych kuchni polowych nowego systemu, zreformowanych pociągów i podwód i t. d. utworzono po raz pierwszy przy pułkach ekspozytury poczty polowej, do których przydzielono urzędników i woźnych, tak z Galicyi, jak i z Wiednia.

Nad pocztami polowemi objął kierownictwo jeneralny dyrektor, radca dworu Posch z Wiednia, z przydzielonym mu ze Lwowa do pomocy inspektorem Kowarzykiem, jako dyrektorem. W Przemyślu, na głównej poczcie, utworzono ekspozyturę poczty polowej nr. 63, w której zajętych jest dwóch urzędników i dwóch woźnych.

Przed drzwiami ekspozytury wywieszono flagę i przybito skrzynkę, urzędnicy pełnią służbę w uniformach i przy szpadach. Poddani są władzy wojskowej i przydzieleni do głównej kwatery dowodzącego, z nim też razem przenoszą się w stronę Rymanowa, gdzie mieścić się będzie główna kwatera.

Wogóle na całej przestrzeni, stanowiącej teren manewrów utworzono tego rodzaju ekspozytury poczty polowej dla użytku wojskowości. Znajdujemy je w Jaśle, Dukli, Rymanowie i Sanoku.



Wojna w czasie pokoju: Arcyksiążę Fryderyk (X) śledzi przebieg manewrów.

Kradzież Giocondy.

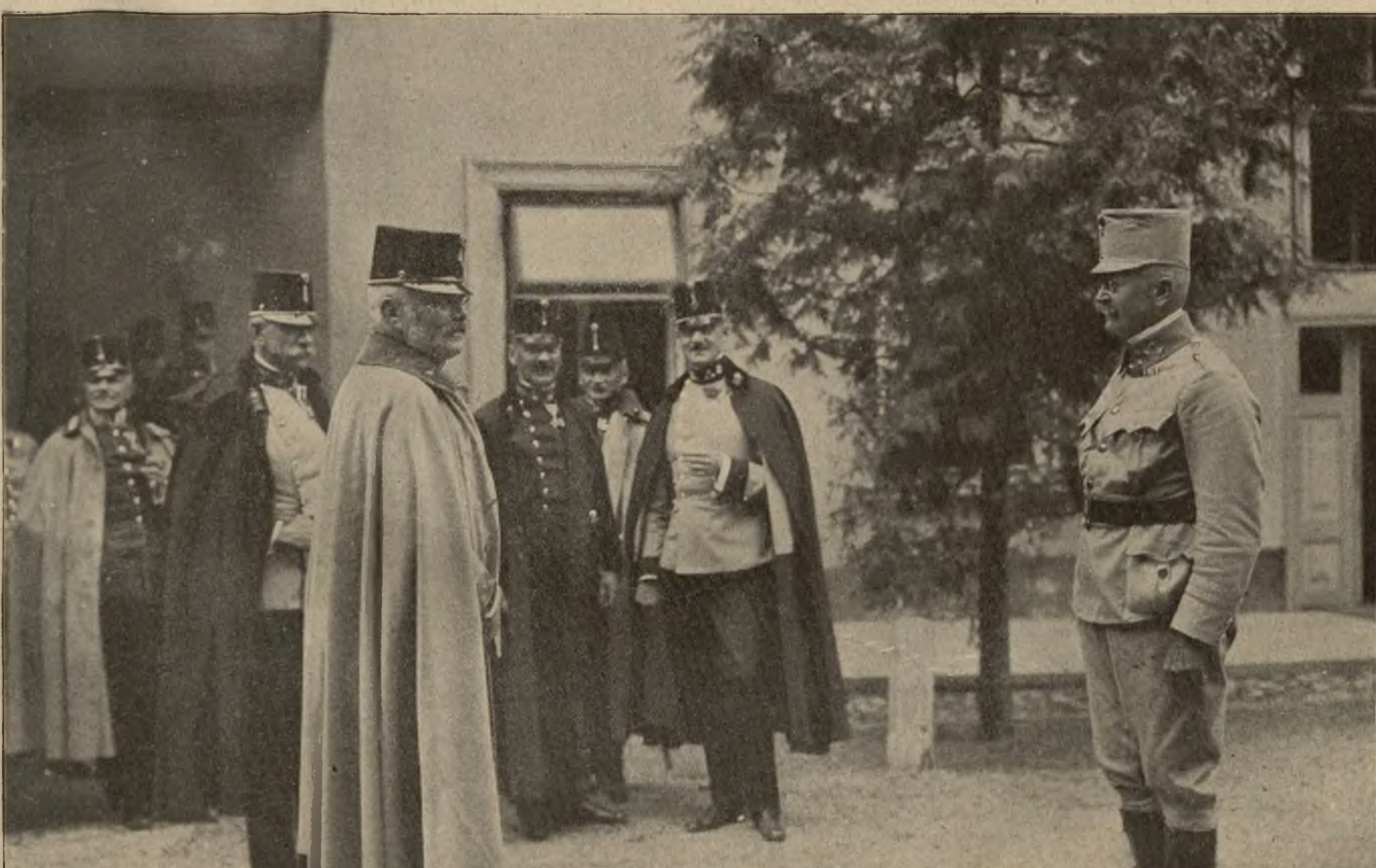
Według poszlak, zebranych przez policyę paryską, kradzież słynnego arcydzieła Leonarda da Vinci z muzeum Luwru, należy uważać jako z góry uplanowany czyn bandytów, a nie postępek jakiegoś maniaka lub niewczesny żart reportera. Jak ostatecznie stwierdzono, złoczyńcy dostali się do wnętrza bocznemi drzwiami, łączącemi muzeum z salą w której znajdują się warsztaty dla odlewów z gipsu. Drzwi te były zawsze otwarte i dla wszystkich dostępne.

Ponadto przekonano się, że przymocowanie obrazu było tak prymitywne, iż zręczny robotnik mógł w przeciągu dwu minut zdjąć obraz ze ściany i ujść niepostrzeżenie. Zrodziły się potem podejrzenia, że sprawcy szukać należy wśród dawnych dozorców, których za różne przewinienia wydalono ze służby i w tym kierunku przeprowadzono badania, które jednak do żadnego pozytywnego rezultatu nie doprowadziły.

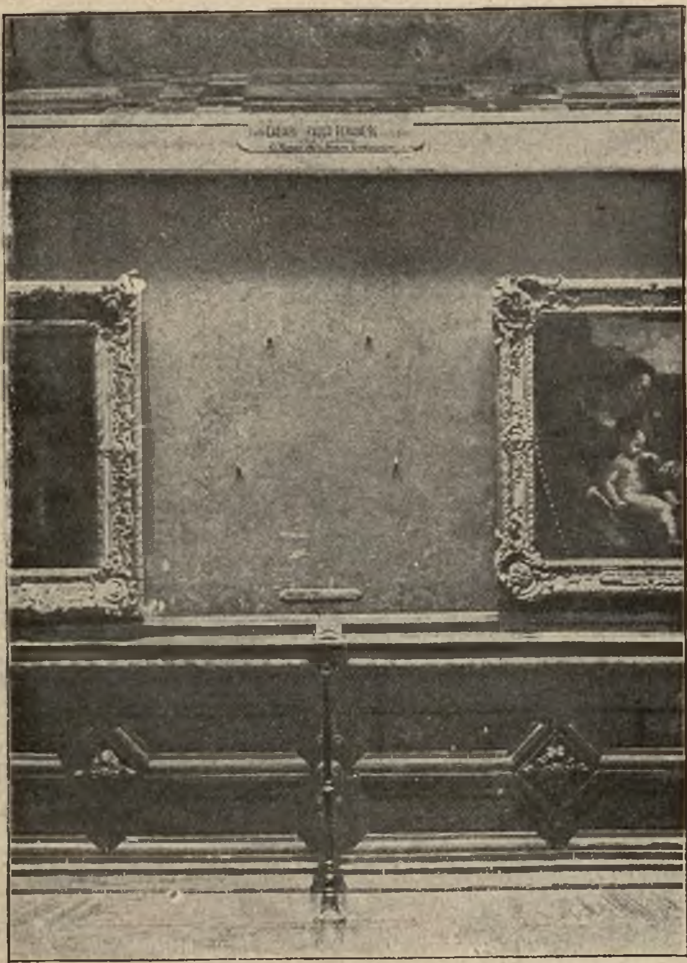
Policya otrzymuje codziennie wskazówki i doniesienia co do osoby sprawców kradzieży, miejsca pierwotnych hipotez i wersyi zajmują inne, mające mniej lub więcej cech prawdopodobieństwa, nie prowadzące jednak do celu. Zwrócono uwagę na parowiec *Champagne*, który odjechał do Nowego Yorku bezpośrednio po kradzieży, poszukiwano na drodze do Bordeaux, także i ślady wiodące w stronę Holandyi zatarły się zupełnie.

Na razie ofiarą wypadku padł dyrektor Luwru, p. Homolle, którego zasuspendowano w urzędowaniu. Zarzucają mu, że przez niedołęstwo administracyi i brak kontroli wytworzył w Luwrze stosunki, z których skorzystał przebiegły złoczyńca, aby pozbawić Muzeum jednego z największych arcydzieł, jakie się w niem znajdowały. Winowajcy szukać należy jednakowoż gdzieindziej, dyrekcya Sztuk pięknych ograniczała na każdym kroku władzę kierownika muzeum i nie starała się wcale o odpowiednią liczbę należycie ukwalifikowanych dozorców, których minister Sztuk pięknych mianował z pomiędzy wysłużonych wojskowych.

W ostatnich dniach nadeszła do Paryża wiadomość, że w Leon na granicy hiszpańsko francuskiej przytrzymano dwu podejrzanych ludzi, jadących auto-



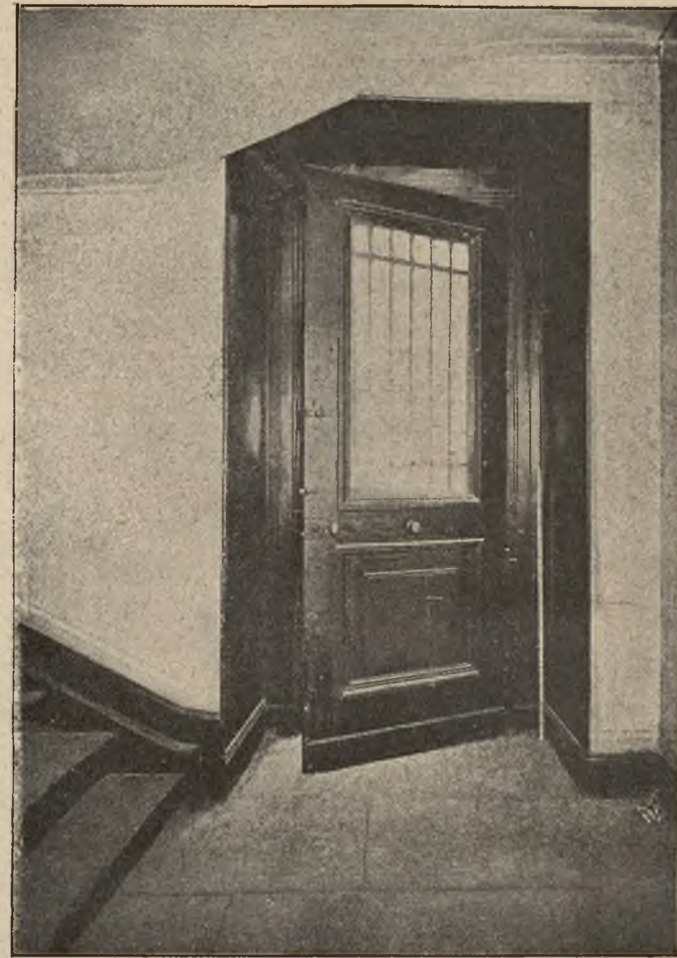
Wojna w czasie pokoju: Porucznik rezerwowy asesor przemyski Dr. Błażowski w rozmowie z arcyksięciem Fryderykiem.



Kradzież Giocondy: Miejsce, na którem wisiał skradziony obraz.

mobilem i odebrano im Giocondę, niewiadomo jednak czy to jest oryginał czy kopia. Gubernator z Leon zawiadomił telegraficznie, iż pogłoska była mistyfikacyą.

Prawie równocześnie ze zniknięciem Mony Lizy skradziono we Włoszech z willi Carlotta pod Cadenabbia kopię słynnego obrazu, wykonaną przez współczesnego Leonardowi da Vinci malarza. Uchodziła ona za rzecz bardzo dobrą, jedynie rysunek rąk pozostawiał nieco do życzenia. Przypuszczają, że kradzież ta pozostaje w związku z kradzieżą w Luwrze.



Kradzież Giocondy: Boczne drzwi, któremi złodzie uszedł

Przyszła cesarzowa austryacka.

Według praw rodzinnych domu Habsburskiego następstwo tronu po arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie d'Este, który wstępując w związek małżeński z hrabianką Chotek, dzisiejszą księżną Hohenburg, zrzekł się praw do tronu imieniem swego potomstwa, przypada na syna ś. p. arcyksięcia Ottona, młodego i wielce obiecującego arcyksięcia Karola Franciszka Józefa.

Z tego właśnie powodu w całej monarchii obudziły wielkie zainteresowanie zaręczyny przyszłego cesarza i króla z księżniczką Zytą z domu Bourbon Parma, które odbyły się w czerwcu w prześlicznym nadmorskim zamku Pianore nieopodal Viareggio we Włoszech.

Młodzi ludzie znają się od dzieciństwa, obydwoje przebywali długo na dworze arcyksiężnej Maryi Teresy i tutaj się wzajemnie pokochali.

Księżniczka Zyta, licząca obecnie dziewiętnaście lat wieku, odznacza się niepospolitemi zaletami serca i umysłu, wdziękiem swej postaci i ujmującem obejściem przypominając nadzwyczajnie ś. p. cesarzową Elżbietę. Urodzona w r. 1892 w willi Pianore, jako piąte dziecko z drugiego małżeństwa księcia Roberta Bourbon Parma, tutaj i na zamku Schwarzau wychowywała się pod troskliwem okiem rodziców, zyskując sobie ogólną miłość i sympatyę wszystkich, którzy mieli sposobność zetknąć się z nią osobiście. Według ogólnej opinii łączy ona w sobie przymioty Bourbonów z szykiem i wdziękiem Wiedeńki. Otrzymała nader staranne wychowanie, zwiedziła także Włochy, Francyę i Anglię.

Z przyszłym swym narzeczonym jest księżniczka Zyta złączona węzłami krwi, również i z arcyksięciem Leopoldem Salwatorem, którego żona, księżna Blanka, pochodzi także z domu burbońsko parmeńskiego. Spokrewnioną była nadto z ś. p. cesarzową Elżbietą przez księcia Karola Teodora bawarskiego i hrabinę Trani.

Arcyksiążę Karol Franciszek Józef urodził się w Persenbeug w dniu 17 sierpnia 1887, jako starszy syn ś. p. arcyksięcia Ottona i żony jego Maryi Józefy, księżniczki Saskiej. Obecnie jest on rotmistrzem w 7 pułku dragonów, w najbliższym czasie ma być przeniesionym do Wiednia jako kapitan piechoty w pułku Deutschmeistrów.

Zaręczyny odbyły się w Pianore w kółku najściślejszej rodziny, cesarz Franciszek Józef zawiado-



Wojna w czasie pokoju: Telegraf bez drutu podczas manewrów.

miony telegraficznie, nadesłał depeszę gratulacyjną. Ślub młodej pary odbędzie się w jesieni, od tej chwili obejmie arcyksiężniczka Zyta funkcye pierwszej damy dworskiej, które dotąd piastowała arcyksiężna Marya Annuncyata.



Wojna w czasie pokoju: Arcyksiążę Fryderyk i komendant przemyskiej twierdzy marszałek polny Collard.

Nowy gmach Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie.

Jednym z najważniejszych momentów VII. krajowego zjazdu Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie, było uroczyste poświęcenie nowej siedziby Ligi przy ul. Pańskiej L. 11. Gmach wielki, liczący 80 pokoi, przebudowany kosztem przeszło 100.000 koron, odpowiada w zupełności celom i zadaniom poważnej krajowej instytucyi. Wartość szacunkowa gmachu Ligi pomocy przemysłowej obliczona przez instytucye bankowe na kwotę 800 000 koron, stanowi silną podstawę materyalną dla dalszego rozwoju całej organizacyi.

Uroczystość poświęcenia gmachu Ligi odbyła się programowo w d. 8 września. W dziedzińcu gmachu ustawionym został pięknie przystrojony ołtarz, przy którym odprawił uroczyste nabożeństwo ksiądz biskup Bandurski, który przy tej sposobności wygłosił od ołtarza piękne przemówienie i pobłogosławił przyszłą działalność instytucyi.

W uroczystości wzięło udział kilkuset uczestników, delegatów i gości z marszałkiem krajowym i reprezentantami władz na czele.

Po poświęceniu gmachu zebrali się obecni w sali wykładowej, gdzie po otwarciu obrad Zjazdu przez prezesa Ligi ks. Andrzeja Lubomirskiego, przemawiali marszałek kraju hr. Badeni i reprezentanci wielu władz i instytucyi.

Uwolnienie inżyniera Richtera.

Olimp, którego śniegiem pokryte szczyty były niegdyś siedzibą bogów, dziś stanowi doskonałe schronisko band zbójeckich, które korzystają z położenia pasma górskiego na pograniczu Turcyi i Grecyi i w chwili niebezpieczeństwa przenoszą się raz na tę, drugi raz na tamtą stronę. Nie odstrasza to jednak żądnych wrażeń turystów, którzy spieszą tutaj z całej Europy, wiedząc, na jakie narażają się niebezpieczeństwo. Panują tu tego rodzaju stosunki, że wycieczkowcy, choć wybierają się w drogę w towarzystwie żandarmów tureckich, mogą być pewni, że dostaną się w ręce bandytów.



Przyszła cesarzowa austryacka: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef i jego narzeczona księżniczka Zyta Bourbon-Parma.

Spotkało to niemieckiego inżyniera, Richtera, który swój wakacyjny urlop spędził tego roku w Grecyi. Bawił tu już przedtem dwukrotnie, tego dopiero lata, pomimo ostrzeżeń, postanowił urządzić wycieczkę na Olimp. Skończyła się fatalnie, obaj towarzyszący mu tureccy żandarmi zostali zamordowani w jego oczach. Richtera uprowadzili bandyci ze sobą w góry, spodziewając się obfitego okupu. Zwiedzanie osobliwości Olimpu w tem towarzystwie nie było zbyt przyjemnem, choć jednak turysta protestował i powoływał się na swój rząd, zbójcy pozostali nieczuli. Początkowo zażądali zań okupu w kwocie pięćdziesięciu tysięcy tureckich funtów, czyli okrągło miliona dwustu tysięcy koron.

Rząd turecki, na którego terytoryum miało miejsce uprowadzenie, nie kwapił się zbytnio z wypłatą żądanej sumy, wysłał natomiast żandarmów i wojsko, co się jednak nie na wiele zdało. Trzy miesiące trwały poszukiwania. Richter nadsyłał tymczasem błagalne listy, z prośbą o ratunek, gdyż zbójcy zagrozili mu śmiercią na wypadek, gdyby nie otrzymali żądanych pieniędzy.

Widząc, że rząd sułtański woli raczej poświęcić Richtera, aniżeli otworzyć swą pustą zresztą kieszeń, zwrócili się bandyci do niemieckiego konsula w Elassona i rozpoczęli z nim pertraktacye, które uwień zyt wreszcie pomyślny skutek. Zdecydowali się zniżyć okup na cztery tysiące funtów, które udało się zebrać drogą składek w Niemczech, ponadto prosili o złote zegarki i jedwabne pasy. Gdy otrzymali, czego żądali i gdy zapewniono ich, że nie potrzebują obawiać się zasadzki, odprowadzili Richtera na oznaczone miejsce, skąd w towarzystwie żołnierzy, by nie



Nowy gmach Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie: Zjazd delegatów i zarząd Ligi pomocy przemysłowej.
(Fot. Jaworski, Lwów).

wpaść w ręce innego bandyckiego konsorcyum, przybył wreszcie do Elassony i musiał poddać się kwarantannie w obawie zawleczenia cholery.

Richter opowiada, że bandyci obchodzili się z nim



Popisy orkiestry włościańskiej w Krakowie: Dyrektor Karol Namysłowski.

wcale niegościennie i często grozili mu śmiercią, nie mogąc się doczekać pieniędzy. Obecnie chodzi o to, na którem terytoryum dostał się do niewoli, gdyż rząd niemiecki zażąda z pewnością zadośćuczynienia i zwrotu kosztów. Richter na razie milczy, dopóki jest w Macedonii, obawiając się szykan, obiecuje jednak po powrocie do Niemiec ogłosić dokładne wspomnienia z czasów niewoli.

Ogólnie sądzą, że padł on ofiarą greckiego narodowego komitetu, który w ten sposób chciał zasilić swą kasę.

W powrocie do swego rodzinnego miasta Jeny, zatrzymał się Richter jakiś czas w Wiedniu i tu zaraz wzięli go w obroty tamtejsi dziennikarze, interwiewując o ile się tylko dało, choć wypraszał się i tłumaczył znużeniem. Nie darowali mu jednak, musiał ustąpić i skreślił im dokładnie przebieg trzymiesięcznej niewoli, stwierdzając z całą stanowczością, iż od chwili, gdy rabusie otrzymali żądany okup, byli dlań bardzo grzeczni i uprzejmi, dawali dobrze jeść i pić, wreszcie odprowadzili do granicy tureckiej, którą przekroczył w dniu 23 sierpnia.

Popisy orkiestry włościańskiej w Krakowie.

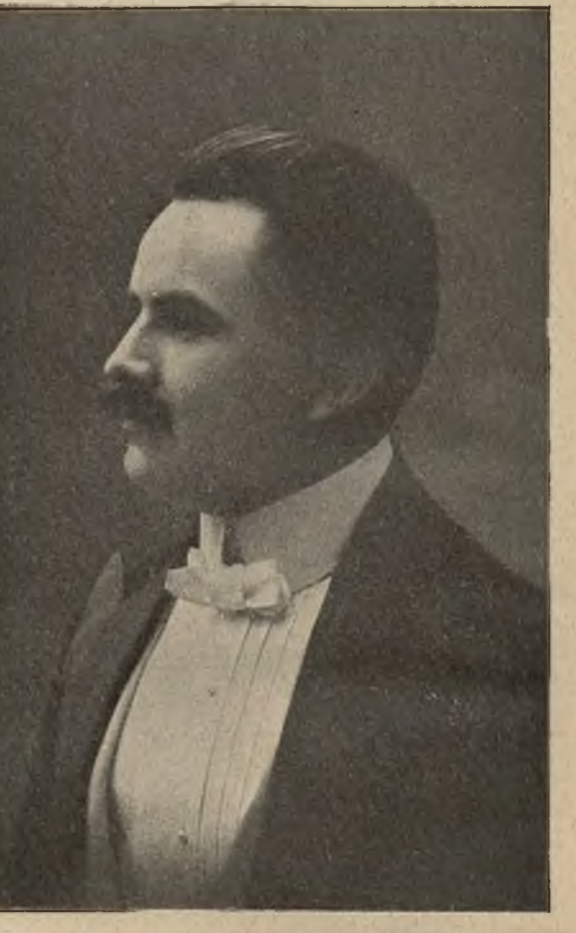
Orkiestra pp. Namysłowskich, złożona z muzyków Polaków, grająca czysto i rytmicznie, należy u nas do zjawisk o których marzyliśmy od lat. Mieliśmy już orkiestry filharmoniczne, może liczniejsze i doskonalsze od włościańskiej, lecz zespół ich nie był tak jednolity, jak tej właśnie. Jest to pierwszy w Polsce organizm orkiestralny, który w miarę sprzyjających warunków może się z czasem rozróść i należycie spotężnieć. W Królestwie Polskiem cieszy się ona uznaniem, zdobytem wielu latami produkcyi popularnych, zawsze gorąco oklaskiwanych, w przysłowie weszła tam już werwa i zadzierzystość rytmiczna mazurów Namysłowskiego, które nigdy nie chybiają elektryzującego wrażenia. Mniej pewnym wydawał się sukces na terenie symfonicznym, lecz i tutaj okazało się, że i poważna muzyka leży w zakresie dobrze wymustrowanej orkiestry.

Przewinęły się przed uszyma słuchaczy znane i nieznane kompozycye autorów polskich i obcych; wszystkie, choć wymagające wielkiej sprawności i rutyny, odegrane zostały zupełnie poprawnie i przyjęte burzą oklasków, niestety niezbyt licznie zgromadzonej publiczności krakowskiej, dla której więcej uroku mają zawsze obce nazwiska i obce produkcye, choćby nawet mniej wartościowe.

Szczególniej „Polonia“ Ryszarda Wagnera, dyrygowana przez p. Karola Namysłowskiego i „Tatry“ Żeleńskiego, pod batutą Namysłowskiego *juniora*, podobały się ogólnie i wykazały dowodnie, że zespół orkiestrowy jest należycie dobrany i umiejętnie wyszkolony. Niektóre pulpity obsadzone są doskonale. brzmienie na ogół jędrne i czyste, całość jako rezultat pracy kapelmistrzowskiej w nader trudnych warunkach, interesująca i godna poznania.

Do podniesienia nastroju przyczyniają się także i barwne kostyumy ludowe w jakich występują członkowie orkiestry.

Kraków był pierwszym etapem pierwszego wiel-



Popisy orkiestry włościańskiej w Krakowie: Stanisław Namysłowski.

kiego tournée artystycznego orkiestry włościańskiej po Galicyi, spodziewać się należy, że prowincya naprawi złą reputacyę, jaką mieszkańcy podwawelskiego grodu zyskali sobie u Namysłowczyków i pospieszy tłumnie na popisy orkiestry, która ze wszechmiar zasługuje na uznanie i poparcie.



Nowy gmach Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie: Zarząd i delegacye podczas przemowy biskupa Bandurskiego. (Fot. Jaworski Lwów)



Uwolnienie Inżyniera Richtera: Inż. Richter w drodze do Saloniki po przebyciu kwarantanny w Ostrowie.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

8 Powieść.

I po wstępnych, krótkich zapytaniach formalnych, ciągnął dalej:

— Cnciej mi powiedzieć wszystko, co wiesz o panu Laborda!

Doktor poruszył głową.

— Mój Boże, to co wiem, redukuje się do bardzo niewielkich rzeczy.

— Sądziłem, że pozostawaliście z sobą w bliźkich stosunkach?

— Błędne, panie sędzio, mniemanie!

— W jaki sposób poznałeś go pan... i kiedy?

— Będzie temu lat cztery. Byłem wtedy lekarzem na statku „Argentin", kursującym pomiędzy Rio-Janeiro a Bordeaux. Pana Emanuela Laborda, pasażera pierwszej klasy, leczyłem kilkakrotnie, ulegał bowiem często silnie na niego oddziaływającej chorobie morskiej. W wolnych od zajęć chwilach, chętnie z nim rozmawiałem o sprawach ogólnych. Raz tylko opowiedział mi kilka szczegółów, bliżej go dotyczących.

— Które były?...

— Wyznał mi, że nie jest Brazylianinem, za którego uchodził, lecz Francuzem, rodem z Bordeaux. Nosił nazwisko swojej matki, Hiszpanki; w rzeczywistości zaś nazywał się Emanuel Gaffre. Był nie żonaty i sądził, że niema wcale żyjących krewnych.

— Co mówił z panem o swoim majątku?

— Mówił mi wówczas, że odniósł wielkie korzyści w handlu skórami i gdyby zdołał porozumieć się z pewną firmą w Bordeaux, do której właśnie miał się zgłosić, interes jego mógłby niewątpliwie znacznie się rozszerzyć.

— Czy to wszystko?

— Tak.

— Ale następnie musiałeś się pan chyba czegoś więcej dowiedzieć, korespondowałeś z nim bowiem ciągle?

— W rzeczy samej zamieniliśmy dwa czy trzy listy... przed ostatnim, w którym mi donosił, że na stałe powraca do Francyi, ażeby używać swego majątku, lecz ponieważ jest cierpiący, chciałby wprzódy leczyć się w zakładzie, w którym jestem asystentem. Przedstawiłem list dyrektorowi, który następnie sam prowadził z nim układy.

— Utrzymujesz pan zatem, w myśl tego, co już powiedziałeś, że cyfra majątku pańskiego przyjaciela była ci nieznaną?

— Tak. Nic ściślejszego nie mówił mi on w tym względzie.

— Lecz wedle pańskiego mniemania ile mogła wynosić jego fortuna?

Doktor poruszył się na krześle z widocznem rozdrażnieniem.

— Nigdy nie zadawałem sobie podobnego pytania! Nie obchodziło mnie to bowiem wcale!

— Przepraszam. Mogło to pana obchodzić, bo przecież chciałeś od pana Laborda pożyczyć pieniędzy.

Doktor syknął tonem zaprzeczenia:

— Ja?

— Niezawodnie! Tak jemu, jak i innym pasażerom na „Argentinie", proponowałeś pan kilkakrotnie udzielenie ci pieniędzy na zawiązanie spółki, mającej na celu ufundowanie wielkiego przedsiębiorstwa... czegoś w rodzaju kasyna, czy też domu gry, który zamierzałeś otworzyć w okolicy Rio Janeiro...

Twarz młodego lekarza, nie zarumieniła się wprawdzie, lecz pociemniała nagle. Krzyknął z uniesieniem:

— Ależ to jest dziwne przekręcenie faktów!... Projektowałem istotnie wzniesienie sanatoryum w górach, otaczających Rio Janeiro...

— Sanatoryum, w którem ruleta i baccarat miały objąć wszechwładne panowanie! — przerwał Deverrier tonem zaczepnym.

Doktor machnął ręką.

— Mówi pan o kraju, którego nie znasz! Niezawodnie, zakład podobny, ufundowany i urządzony według potrzeb i obyczajów mieszkańców Ameryki Południowej, musiałby posiadać, oprócz sali wido wiskowej i salon gry. Oba te akcesorya, uważane są tam za nieodzowne, a bez nich sanatoryum istnieć by nie mogło!... Zakład jednak, jak wiele innych w tamtych stronach, przeznaczony był głównie do służenia, w porze upałów i febry, za schronienie dla rodzin uczciwych, należących do najlepszego towarzystwa.

— Cóż przeszkodziło do urzeczywistnienia pańskiego projektu?

— Trudność znalezienia potrzebnego kapitału, który musiałby być bardzo znaczny...

— Zwłaszcza, że sam nic nie posiadałeś!

Doktor odparł żwawo:

— Można przecie być człowiekiem uczciwym, obejmując posadę kierownika przedsiębiorstwa, w które się nie włożyło własnych pieniędzy, dlatego jedynie, że się ich nie miało.

— Koniec końców, próbowałeś pan w obmyślany przez siebie interes wciągnąć pasażerów, którzy wydawali się bogatymi, a z którymi mogłeś wchodzić w bliższe stosunki, dzięki stanowisku jakie zajmowałeś na okręcie.

— Rzeczywiście rozmawiałem o moim projekcie z ludźmi, których to interesować mogło.

— Lecz zarząd Towarzystwa żeglugi morskiej, dowiedziawszy się o tem, uważał pańskie zabiegi za niewłaściwe i skłonił cię do zażądania dymisyi, bo gdybyś sam nie uczynił tego dobrowolnie, wymówionoby ci ostentacyjnie posadę...

Usta doktora wykrzywiły się nieco.

— Tak! To jest ściśle stwierdzenie faktu! — rzekł suchym tonem.

— Zresztą — ciągnął dalej Deverrier, kładąc silny nacisk na wymawiane wyrazy — surowość Towarzystwa tłómaczy się jeszcze tem, że dawałeś mu pan inne powody do niezadowolenia...

Na twarzy doktora odmalowało się nerwowe rozdrażnienie.

— Nie wiem, co pan przez to chce powiedzieć?

— Wytłómaczę panu. Miałeś wówcas nałóg, któremu i dziś ulegasz niemal nieustannie. Pijałeś eter, niekiedy bez umiarkowania, co cię czyniło niezdolnym do należytego spełniania służby na statku. Nadto, prawdopodobnie dla nabrania wprawy w kierowaniu salonem gry, który otworzyć chciałeś w swojem sanatoryum, brałeś udział w partyach pokera o wysokich stawkach...

Jintot zaprotestował.

— Wszystko to przedstawiono panu w barwach zbyt jaskrawych! Ludzka zła wola przeholowała tym razem niezmiernie.

— Zaprzecz pan, że nie pijałeś eteru!

Doktor zawahał się momentalnie, poczem odpowiedział głosem niepewnym, łamiącym się w miarę mówienia.

— Nie wiem, dlaczego przemawia pan do mnie z tak wyraźną niechęcią!... Odpowiadam panu, o ile mogę najdokładniej. Pragnę szczerze dopomódz przedstawicielowi sprawiedliwości do wyświetlenia prawdy, chociaż nie wiem, jakich, w rzeczy samej pożytecznych wyjaśnień, udzielić mogę w sprawie, w której mnie pan do siebie powołałeś... Bo co kogo obchodzić może w poszukiwaniach, odnoszących się do śmierci doktora Manescault i Emanuela Laborda, że podległem mniej więcej surowej naganie zarządu Towarzystwa żeglugi morskiej, dla którego pracowałem niegdyś?... Co kogo interesuje, że niedole i rozczarowania mego osamotnionego życia, oraz niepowodzenia, jakich zaznałem w moim zawodzie, doprowadziły mnie do przyzwyczajenia, które tylko mnie jednemu szkodzić może? Piję istotnie eter kiedy niekiedy, lecz nigdy w takim stopniu, aby mnie czynił niezdolnym do spełniania obowiązków, jakich się podjąłem.

Mówił z widocznem wzruszeniem, lecz Deverrier już od dość dawna go nie słuchał. Szukał czegoś w leżących przed nim aktach i szeleścił papierami w sposób tak nieznośny, tak drażniący nerwy, że nawet siedzący naprzeciw niego pisarz sądowy, zdawał się tracić zwykły spokój, zaczął bowiem z wściekłością gryźć trzymaną w ręku obsadkę od pióra.

Nie troszcząc się wcale nieprzyjemnem wrażeniem, jakie ruchliwość jego wywierała na słuchaczach, rzekł nagle, jakby od niechcenia:

— Chciej mi powiedzieć doktorze, co zaszło pomiędzy tobą a panem Laborda w nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię?

Doktor Jintot, zwinięta w gałkę chustką, ocierał czoło, na które wystąpił pot perlisty. Chwilowe jego wzruszenie rozpraszało się obecnie. Odparł opryskliwie:

— Co do tego, składałem już raz zeznanie. Musi być zapisane w raporcie komisarza policyi z Villeneuve.

Uśmieszek na wpół słodki, a na wpół złośliwy, zaigrał na wargach sędziego w chwili, gdy palce jego podnosiły arkusze papieru, rozłożone przed nim na biurku.

— Niezawodnie!... Zeznanie pańskie znajduje się tutaj! Lecz czy nie raczyłbyś z łaski swojej powtórzyć je raz jeszcze?

Jintot ochrypłym głosem uczynił zadość żądaniu sędziego.

— Na wezwanie pana Laborda udałem się do Pawilonu Bzów...

Deverrier przerwał:

— Przepraszam! Racz ściśle określić sposób, w jaki otrzymałeś to wezwanie?

— Jeśli pan chce koniecznie!... Otóż Laborda zatelefonował, że pragnie widzieć się z panem doktorem Manescault natychmiast...

— Czy istnieje telefon, łączący Pawilon Bzów z zakładem?

— Istnieje!

— Więc Laborda wezwał pana telefonem? Pan zaś, odpowiedziałeś mu w tenże sam sposób. Wszystko zatem odbyło się tak, jak pan zeznałeś przed komisarzem policyi?

Doktor Jintot podniósł oczy na sędziego, zawahał się chwilkę, poczem odpowiedział głosem obojętnym, jakby go całe to badanie nie interesowało już wcale:

— Tak, panie.

Sędzia siedział teraz nieruchomy, nie drgnął nawet. Wydał tylko rozkaz „wprowadzenia tak zwanego Maurycego Berthaut".

Po szybkiem stwierdzeniu generaliów dozorcy, Deverrier zadał mu pytanie, które w nagłe pomieszanie wprawiło doktora.

— Wszakże oświadczyłeś pan w ostatniem swojem zeznaniu, że telefon, łączący Pawilon Bzów z głównym budynkiem zakładu dla obłąkanych, nie funkcyonuje od pewnego czasu?

Berthaut odpowiedział silnym głosem rzucając wyzywające spojrzenie na doktora Jintot

— Tak, panie sędzio.

— Od kiedy?

— Przestał służyć w wilię wilii dnia, w którym zamordowani zostali pan Laborda i pan dyrektor.

— Zatem niepodobieństwem było, aby pan Laborda mógł telefonicznie porozumieć się z panem doktorem Jintot?

— Równie z panem doktorem, jak z kimkolwiek bądź innym w zakładzie. Wypadek sprawił, że druty zostały przerwane... a robotnik, który je miał naprawić, po dziś dzień jeszcze nie przyszedł.

— Czy wiedziano o tem w zakładzie?

— Nie, panie sędzio. Pan Laborda telefonował bardzo rzadko. Sądzę więc, że on sam nawet nie wiedział, że telefoniczna komunikacya z gmachem głównym została przerwana.

— Czy jesteś pewien, że po pańskim wyjeździe nie przywrócono jej, choćby tylko chwilowo?

— Rzecz zupełnie niemożliwa. Łatwo się o tem przekonać.

— Czy inne osoby mogą wraz z panem świadczyć, że zerwanie drutów nastąpiło przed nocą, w której popełniono zbrodnię?

Doktor Jintot uprzedził Maurycego w odpowiedzi.

— Nie potrzeba, panie sędzio! Bardzo być może, że druty zerwane zostały wcześniej. Nie przeczę temu... Ot, powiem szczerze, że nie widziałem o tem.

Sędzia nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika, pełnego zdziwienia:

— W takim razie pańskie podwójne zeznania?...

Doktor wzruszył ramionami i odpowiedział tonem zupełnie swobodnym:

— Mój Boże! W ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie zeznałem prawdy, bo rzecz sama nie miała dla mnie najmniejszego znaczenia!

Deverrier zawołał:

— Czy być może?... W takim razie, co pan zeznaje obecnie?

— Och! prawdę... najszczerszą prawdę! Nie spędziłem nocy w biurze, nie mogłem zatem wiedzieć, czy telefonowano po mnie z Pawilonu Bzów, czy nie...

— Gdzież byłeś?

— W moim pokoju...

— Cóżeś tam robił, zamiast siedzieć na miejscu, wskazanem ci przez obowiązek służbowy? Wszakże to uchybienie ze wszech miar znaczące, które będziesz pan musiał wytłómaczyć i usprawiedliwić.

— Och! nie przesadzajmy!... Bardzo rzadko potrzebny bywałem w nocy, a jeśli przypadkiem okazała się potrzeba, to równie łatwo można mnie było przywołać z mego pokoju. Rozporządzenie pana Manescault w tym względzie, uważałem zawsze i uważam jeszcze za dziwactwo, albo chęć udręczania asystenta... Kazać mi, bez żadnej korzyści dla zakładu, siedzieć do północy w biurze, w którem nawet cygara palić nie mogłem, to przecież nie miało sensu...

Deverrier uśmiechnął się ironicznie.

— Pan wolałeś udać się do swego pokoju, aby w nim bez przeszkody zapijać się eterem!

Doktor zmieszany nie odpowiedział na to ani słowa.

Sędzia pytał go dalej z naciskiem:

— Wszakże piłeś... nieprawdaż?

Jintot prawie nieznacznie skinął głową.

— Tak, trochę...

— Zatem odwiedziny pańskie u Laborda... to także bajka?

Doktor żachnął się całem ciałem.

— Broń Boże!... Poleciłem, żeby mnie wezwano, gdyby okazała się potrzeba... uwiadomiono mnie zatem.

— Komu wydałeś polecenie?

— Młodemu służącemu, który się zwie Jakób...

— Więc to on doniósł, że Laborda wzywa pana?

— Tak... To jest powiedział mi, że Laborda chce mówić z dyrektorem. Żeby nie budzić pana Manescault poszedłem sam. Wszystko następnie działo się tak, jak to już raz opowiadałem.

— Czy służący pański twierdził, że telefonowano z Pawilonu Bzów?

— Nic nie twierdził. Zawiadomił mnie tylko, że Laborda pragnie się widzieć z doktorem Manescault. Nie wiedząc, że telefon nie funkcyonuje, przypuszczałem, że telefonowano do mnie z pawilonu...

— W jakiż sposób ów młody człowiek dowiedział się o żądaniu pana Laborda?

— Nic nie wiem. Należałoby go o to zapytać.

Po tych słowach, Maurycy Berthaut niemal głośno zachichotał szyderczym śmiechem.

Sędzia, który śmiech jego posłyszał, zwrócił się ku niemu:

— Co pan mówi?

— Powiadam, że z Jakóba nie łatwo będzie wydobyć jakiekolwiek bądź wyjaśnienia.

— Dlaczego?

— Bo to waryat!

— Waryat?

— Może tylko idyota...

— Który pomimo to jest służącym?

— Och! w ogólności jest do niczego!... Tylko pan doktor Jintot używa go do własnej posługi!

— Proszę mi powiedzieć, w jakim charakterze bawi w zakładzie?

Jintot zabrał głos.

— Mniej więcej dwadzieścia lat temu, Jakób urodził się w zakładzie z matki waryatki. Rodzina uznać go nie chciała. W obawie wyniknąć stąd mogącego skandalu, pan Manescault kazał go zapisać w merostwie, jako dziecko nieznanego ojca i nieznanej matki, sam zaś podjął się chłopca wychować... Jakób nie jest ani obłąkany, ani idyota, chociaż w rzeczy samej nie posiada w całej pełni wszystkich władz umysłowych, jak ludzie należycie rozwinięci... Jest dobry, usłużny, bardzo zręczny i kochający tych, którzy się z nim obchodzą życzliwie. Oddaje w domu tysiączne usługi... Sąd jego o rzeczach bywa zwykle wcale sprawiedliwy, tylko jest to sąd siedmioletniego dziecka...

— I to takiemu niewiniątku kazałeś się zastępować w chwili, gdy pochłaniałeś narkotyki?

Jintot odpowiedział z rozdrażnieniem nerwowem, nad którem jednak ciągle jeszcze panował:

— Nie zastępować!... Siedział w biurze, bo miał polecone zawiadomić mnie, gdybym był wzywany. No! i spełnił to jak najściślej w ciągu nocy, która interesuje pana sędziego.

— Zatem, udałeś się pan do tego nieszczęśliwego Laborda upojony eterem?

Doktor wzruszył pogardliwie ramionami i powtórzył:

— Upojony eterem!... Czy pan wie, co to jest upojenie eterem?

— A niechże mnie Bóg broni! — krzyknął sędzia ze wstrętem.

— W takim razie, jeżeli pan nie wie, dlaczego mówisz o tem? Ten, kto zażywanie eteru ma w zwyczaju, otrząsa się z jego wpływu w jednej chwili.

— Nigdy w to nie uwierzę!

— Więc nigdy w tym względzie nie będziesz mieć słuszności! — odparł doktor spokojnie. — Otóż teraz na przykład, czy pan sądzi, że jestem pijany? A jednak, na godzinę przed przybyciem tutaj, zażyłem najsilniejszą dawkę eteru, jaką kiedykolwiek dotąd zdarzyło mi się zażyć.

Sędzia patrzał na niego szeroko rozwartemi oczami.

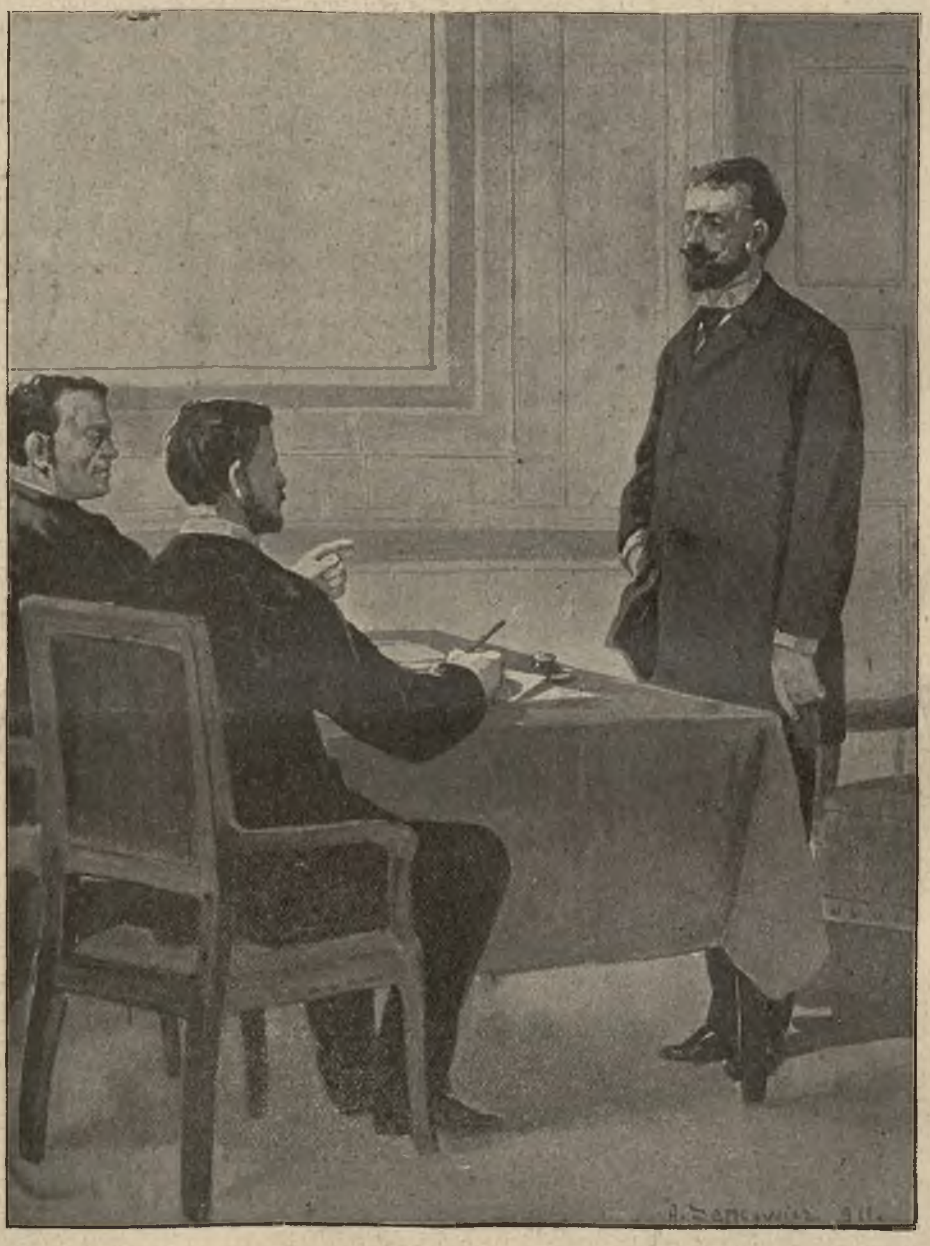
— Czy być może?

— Najniezawodniej!... I widzi pan, że pojmuję dobrze, co pan mówi, że jestem w stanie rozumować i odpowiadać na pańskie pytania. Tak się dzieje zawsze i tak było w nocy, w ciągu której dyrektor i Laborda śmierć ponieśli. A śmierć ich... nie przestanę w to wierzyć... wywołana została napadem szaleństwa u człowieka, który zwaryował nagle, a uduszony został w spazmie agonii przez doktora Manescault.

Nie wdając się w dalszą dyskusyę, a pragnąc zaszachować doktora, którego zimna krew niecierpliwiła go do najwyższego stopnia, Deverrier przerzucił się niespodzianie do całkiem innego przedmiotu i zapytał:

— Czy wiedziałeś pan o depozycie papierów wartościowych, złożonych przez Laborda u doktora Manescault?... Czy depozyt ten przechodził przez ręce pańskie?

Lecz Jintot odpowiedział bez wszelkiego pomieszania:



— Zaprzecz pan, że nie piłeś eteru!? .

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć.

— Byłeś przecie przyjacielem Laborda. Czyżby nie zwierzył się panu z posiadanych akcyi, opiewających na znaczną sumę?

Doktor, zirytowany nieco, odparł podniesionym głosem:

— Zdaje mi się, że już raz panu powiedziałem, że nie byłem przyjacielem pana Laborda! Tak, jak nie jestem przyjacielem setki pasażerów, z którymi odbywałem podróże, gdy spełniałem obowiązki lekarza na pokładzie statku „Argentin". Były to stosunki efemeryczne... Jeśli Laborda posiadał papiery wartościowe, postąpił rozsądnie powierzając je dyrektorowi zakładu. Mnie to obchodzić nie mogło, zwłaszcza, że nic o tem nie wiedziałem.

Deverrier podniósł się na fotelu, uszczęśliwiony lekkiem rozdrażnieniem, jakie udało mu się wywołać w badanym. Oczy jego zamigotały i głos stał się ostrzejszy, sądził bowiem — widząc wzruszenie doktora — że słowa, które przygotowywał się wyrzec, wyprowadzą Jintota z rozważnej cierpliwości, z jaką prawie ciągle słuchał sędziego i odpowiadał na jego pytania.

— Jeśli nic nie wiedziałeś o istnieniu owych akcyj, oraz o miejscu, w jakiem się znajdowały, czemże się dzieje, że znaleziono u pana starannie ukrytą pustą teczkę, która je przedtem mieściła w sobie?

Doktor, wytrzymał natarcie, nie drgnąwszy nawet.

— Nie rozumiem ani słówka z tego, co pan teraz mówi do mnie!

— Czy zaprzeczasz, że teczkę znaleziono w pańskich papierach?

— Nic nie zaprzeczam, bo nic nie wiem... Nie wiem o jaką teczkę mnie pan pyta!

— Jest to rodzaj portfelu, teczka szeroka z zielonego, nieco przetartego safianu, podszyta podartą, jedwabną, zieloną podszewką, opatrzona rzemykami płowego koloru, przymocowanymi do niej ordynarnemi nićmi, zamykana na kluczyk, który pozostał w posiadaniu pana Laborda.

— Jeśli jakiś przedmiot, należący do nieboszczyka, znajduje się u mnie, to znaczy, że go ktoś przyniósł i tam położył! — wymówił doktor głosem głuchym i zdławionym.

Poczem wyprostował się, odkaszlnął kaszlem nerwowym dla oczyszczenia głosu i ciągnął dalej z większem niż przedtem ożywieniem:

— Proszę mi wytłómaczyć, o co mnie obwiniają? Bo spostrzegam nareszcie, że nie jestem, jak sądziłem dotąd, tylko świadkiem, lecz pan chce narzucić mi rolę oskarżonego! Wyobrażasz sobie, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że Laborda i Manescault zostali zamordowani przez osobę trzecią, interesowaną w ich śmierci... i rozbijasz się na prawo i lewo, żeby znaleźć mordercę. Czy to ja zostałem wybrany na ofiarę?... Powiedz pan szczerze, bo w takim razie pomyślę o środkach obrony, widzę bowiem, że pragniesz podejść mnie znienacka.

Na sercu sędziego śledczego ciążyło jeszcze świeże niepowodzenie ze zbyt pośpiesznie prowadzonego śledztwa z panią Manescault i jej bratem, zatem tym razem chciał działać dopiero na dokładnie stwierdzonej podstawie.

Więc uśmiechając się, mówił niemal dobrodusznym tonem:

— Nie oskarżam cię doktorze, ale fakta same cię kompromitują, moim zaś obowiązkiem jest oświetlić należycie ciemne strony tej przykrej sprawy.

Jintot zapytał krótko:

— Jakie ciemne strony?

— Te, które uwidoczniły się w naszej rozmowie. Przedewszystkiem twierdzisz, że udałeś się do Laborda, aby oszczędzić fatygi dyrektorowi, którego Laborda wzywał. Tymczasem inne zeznania dowodzą, że wezwania tego nie było wcale, co przyznać powinieneś...

— Było!... Otrzymałem je, jeśli nie sam, to za pośrednictwem Jakóbka!

— To nie jest poważne tłómaczenie!... Powołujesz się na jednostkę na wpół obłąkaną, której świadectwo nie ma żadnego znaczenia! Zatem, mamy prawo podejrzywać, że udałeś się do Pawilonu Bzów nie wzywany przez pana Laborda, a może nawet wbrew jego woli...

Jintot przerwał gwałtownie:

— Wbrew jego woli?! Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że niespodzianie zaskoczyłem tego człowieka w nocy, ażeby go zamordować?

Sędzia — jakby nie słyszał wyrazów, któremi doktor przerwał mu mowę — ciągnął:

— Przyznajesz, że sam powiedziałeś dyrektorowi, że jego pacyent żąda widzieć się z nim o tak późnej, nocnej porze. Twierdzisz następnie, że nie towarzyszyłeś swemu przełożonemu do pawilonu, lecz na ten fakt nie zdołasz chyba przedstawić żadnego dowodu. Możemy zatem przypuszczać, że poszedłeś za nim jawnie, albo skrycie...

— Ażeby go także zamordować?... Nie!... to staje się poprostu śmieszne!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wypadek kolejowy we Lwowie.

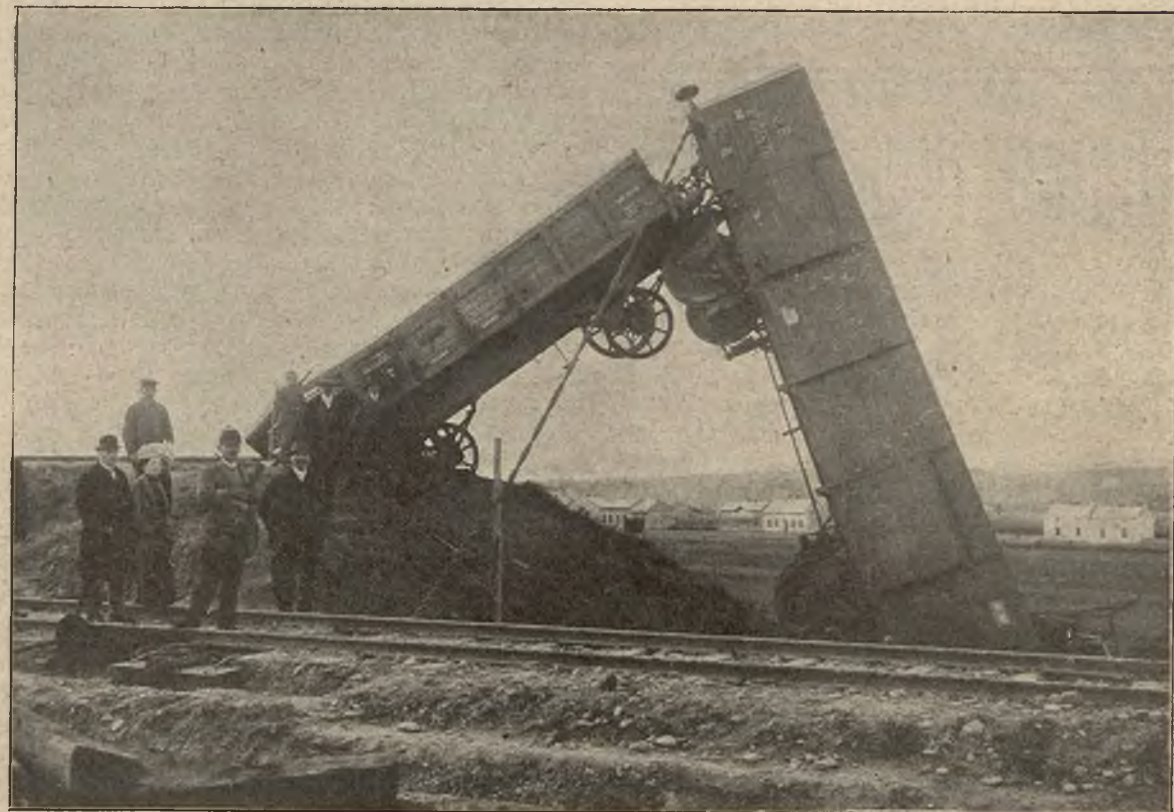
W sobotę wieczorem obiegały Lwów przesadne wiadomości o rzekomej kolosalnej katastrofie kolejowej, jaka się miała wydarzyć na Podzamczu. Na szczęście pokazało się, że tak źle nie jest, przy przesuwaniu wykoleiło się tylko pięć wozów towarowych i zatarasowało przejazd, w ludziach jednak ofiar nie było.

Miejscem katastrofy był tor dojazdowy do rzeźni miejskiej.

Jeden z naocznych świadków wypadku opowiada, że na torze piątym na Podzamczu, należącym do tak zwanych ślepych, to jest zakończonych ziemnym nasypem, a będącym w swem zakończeniu pochyłym, stała cała partya wozów towarowych. Poza zaporą znajduje się ogród Łukasza Dmytrowa.

Z powodu egipskich ciemności (kolejowy szparsystem) lokomotywa, szybująca kilka wozów, popchnęła je na tor piąty z taką siłą, iż zapora ziemna pękła, dwie cysterny spadły do ogrodu o kilka zaledwie metrów od budynku mieszkalnego, jeden wóz stanął w poprzek spadku, podpierając sobą drugi, tak zwaną lorę, wysadzoną również ze szyn.

Celem usunięcia przeszkody wysłano natychmiast z głównego dworca pociąg ratunkowy, na miejsce udał się także inspektor kolejowy radca Witkiewicz. Ponieważ przeszkoda jest trudną do usunięcia, zażądano przysłania parowego żórawia, który ułatwi przywrócenie porządku i umożliwi podjęcie napowrót normalnego ruchu.

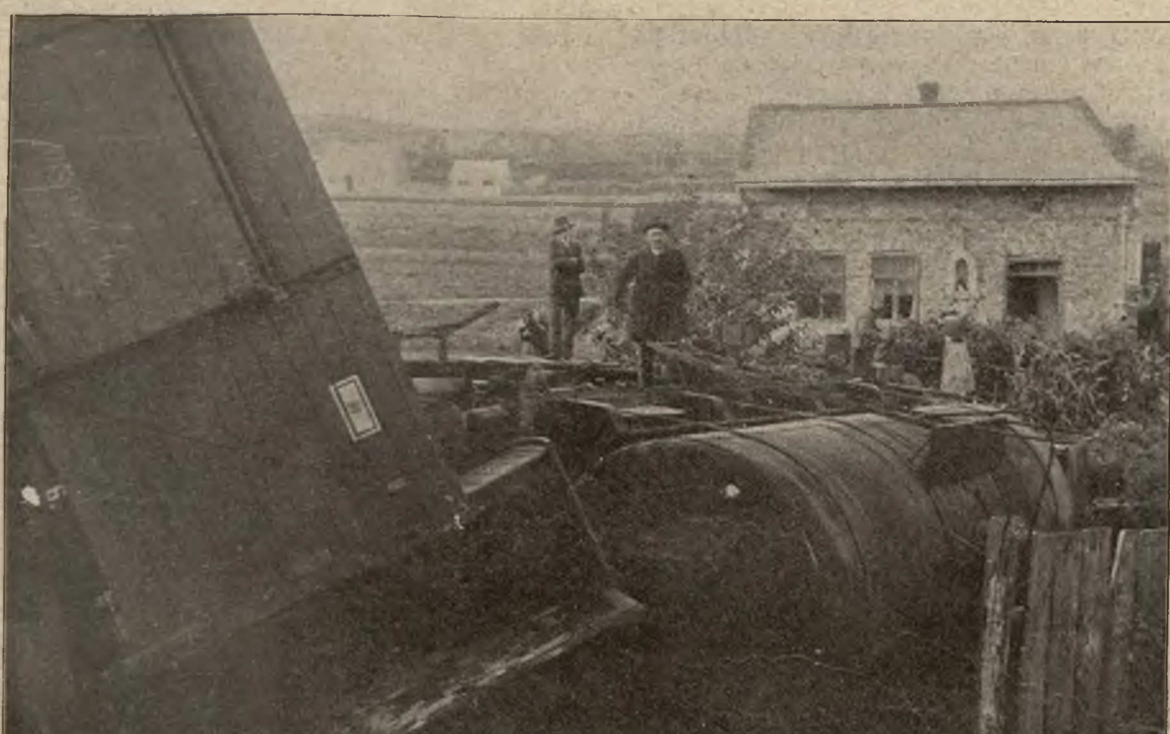


Wypadek kolejowy we Lwowie: Spiętrzone wozy na torze dojazdowym. (Fot. Jaworski, Lwów)

Hrabia dramaturg.

W świecie literatury i teatru, rzadkiem zjawiskiem jest pisarz, któryby na okres ćwierci wieku niemal zupełnie przerwał swą twórczą działalność w języku ojczystym — a po upływie tego czasu, jak syn marnotrawny, powrócił na łono ojczystego piśmiennictwa. Pisarzem takim jest Stanisław hr. Rzewuski, potomek jednej z najwybitniejszych rodzin szlacheckich w Polsce, która już w osobie Henryka hr. Rzewuskiego, dała literaturze polskiej indywidualność niepowszedniej miary.

Stanisław hr. Rzewuski wystąpił na widownię literacką w r. 1881, debiutując w teatrze warszawskim ze sztuką p. t. „Z przeciwnych obozów". Życzliwe przyjęcie tej pierwociny talentu istotnie niezwykle oryginalnego i śmiałego, zachęciło młodego pisarza do dalszych prób, którym towarzyszyło stopniowo coraz większe powodzenie. W ciągu kilku lat następnych, wystawia hr. Rzewuski szereg utworów dramatycznych, które śmiałem ujęciem tematów nowych, pewnem tchnieniem gorzkiego pessymizmu



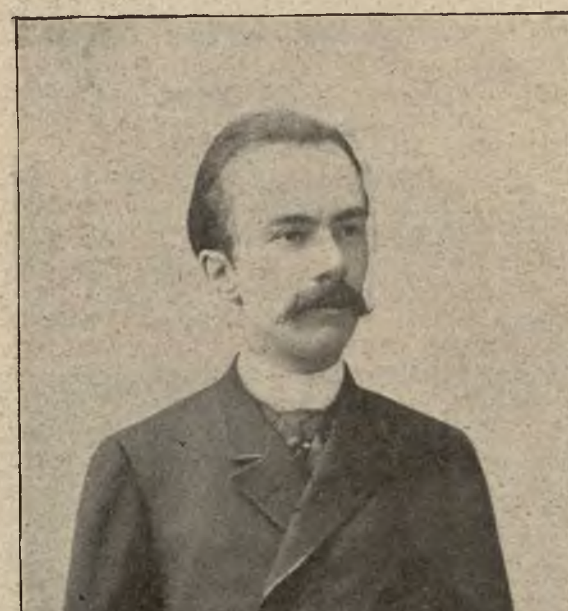
Wypadek kolejowy we Lwowie: Wywrócone cysterny i wozy towarowe obok domu Dmytrowa.

i jaskrawym realizmem odcinały się w wysokim stopniu od poziomu współczesnej banalności i rozpowszechnionego kierunku burżoazyjnego mistrzów teatru francuskiego, jak: Sardou, Augier, Dumas młodszy i ich naśladowcy w teatrze polskim K. Zalewski, E. Lubowski, Koziebrodzki, a w części i Bałucki. Kraków zapoznał się z osobą Stanisława hr. Rzewuskiego w r. 1884 za dyrekcyi Gliksona, gdy młody autor wystawił w teatrze jednę z najlepszych i najpopularniejszych sztuk swoich „Optymista". Powodzenie, jakie przypadło w udziale temu utworowi, zachęciło go do dalszych usiłowań, których etapami były wystawiane kolejno w teatrach, krakowskim, lwowskim i warszawskim sztuki: „Na łaskawym chlebie", „Doktor Faustyna" (1885) „Potrzebne grzeszki", „Bez pieniędzy", „Ostatni dzień Don Juana" i „Cudze dzieci".

Z cyklu powyższego ostatnia była jedyną sztuką, która nie doznała powodzenia, poruszył w niej bowiem autor zbyt śmiało i drastycznie problem dziedziczności, rzucając zarys dramatu na tło nadzwyczaj szaro podmalowane. Być może, że to potknięcie się na gościńcu sławy autorskiej i popularności, zraziło autora do polskich teatrów, dość, że odtąd w zawodzie pisarskim hr. Rzewuskiego datuje się przerwa prawie ćwierćwiekowa, w której pióro swe poświęcił na usługi piśmiennictwa francuskiego. W Paryżu, gdzie żyje od lat trzydziestu, wprędce wyrobił sobie i imię i stosunki i począł pisać sztuki do teatru francuskiego. Pierwsza francuska sztuka Rzewuskiego „Comte Vitold", a za nią grany w teatrze Port Saint Martin przeszło 100 razy, „Tyberyusz na Capri", ustaliły stanowisko hr. Rzewuskiego w teatrze francuskim. Odtąd darzy on teatry francuskie długim cyklem sztuk, w których przebłyskują echa tych prądów, jakie niebawem za sprawą gienialnych Skandynawów, Ibsena i Björnsona, torować sobie poczęły drogę do umysłowości ówczesnej. Dalszymi etapami w scenicznej działalności Rzewuskiego były sztuki „Le Justicier", „Cesarzowa Faustyna", „Les rosés de Bellagio i ponadto jeszcze kilka mniejszych.

Nie zadawalając się polem dramatycznem, próbował Rzewuski także pióra swego w powieści, gdzie zdobywać sobie także począł duże powodzenie utworami „La criminelle", „La grande beauté", „Un drame a la cour de Pologne". Poza tem pisał studya i krytyki, artykuły filozoficzne i publicystyczne, felietony i szkice, co wszystko utrwaliło jego stanowisko w kilku poważnych organach francuskich. Obecnie jest współpracownikiem dzienników „Gaulois", „Siecle" i „L'action" a w tygodniku „Comedie" prowadzi dział krytyki teatralnej.

Ciąg dalszy na str. 15.



Hrabia dramaturg: Stanisław hr. Rzewuski.

Kronika tygodniowa.

Śmierć kardynała Puzyny stała się dla Krakowa wypadkiem dnia, usuwającym na plan drugi wszelkie inne sprawy. Nie jest zadaniem kronikarza (bo to do innych działów należy) podawać życiorys zmarłego dostojnika Kościoła, ani opisywać ostatnie jego chwile. Ale nie tylko mu wolno, lecz wprost należy stwierdzić, że nawet wobec majestatu śmierci prasa nasza nie umiała zachować taktu, że korzystała ze sposobności, aby załatwiać swoje porachunki partyjne. Część jej nie uniknęła przesady twierdząc, że „cała Polska okryła się żałobą", druga część zaś, lekko wspominając o zasługach zmarłego, oddała się z upodobaniem wytknięciu jego wad i błędów tak urojonych jak i rzeczywistych.

Ale z chwilą, kiedy się zamknęła karta życia wybitnej jednostki, sąd o niej należy już do historyi. Ta „mistrzyni" nie może, a przynajmniej nie powinna, ulegać namiętnościom chwili — jej zadaniem położyć na jednej szali zalety i zasługi, na drugiej wady i błędy, od których żaden śmiertelnik wolny być nie może — i stosownie do tego, która szala przeważy, wydać sąd o człowieku. I trzeba rzeczywiście dziwnej zawziętości, aby pamiętać tylko o arbitralności ś. p. Puzyny i o jego „zatargach z opinią", a zapomnieć o jego poważnych zasługach zaletach.

Gdyby ś. p. Kardynał nic nad to nie uczynił, jak że, będąc sufraganem archidyecezyi lwowskiej, dał popęd do wznoszenia kaplic i kościołów we wschodniej Galicyi, jużby miał poważne zasługi dla Kościoła i narodu, bo chyba tylko ślepa zawiść nie widzi, że każdy taki kościół, każda taka kaplica w dzisiejszych stosunkach to posterunek narodowy, to ratowanie dusz polskich przed wynarodowieniem. A ileż w to ś. p. Puzyna włożył pracy, energii, ile własnego grosza. Restauracya katedry na Wawelu, to także pomnik jego energii i ofiarności. Z poświęceniem własnych dochodów uratował Tyniec dla biskupstwa krakowskiego. Postawił seminaryum, kosztem swoim utrzymywał w pałacu biskupim bursę dla młodzieży, założył muzeum dyecezyalne. Żył jak asceta, wszystkiego prawie sobie odmawiając, prócz zadowolenia, że idzie w pomoc dziełom pobożności i miłosierdzia.

Czy wobec tego nie należy mu przebaczyć owej arbitralności, której przyczyną była zarówno dobra choć przesadna wiara w słuszność swych poglądów, jak i choroba od wielu lat tocząca jego ciało. Prawda, że nieraz się mylił, że popędliwością swoją niejednego obraził, a nawet pokrzywdził moralnie, że tępiąc rozluźnioną karność wśród duchowieństwa, często z chwastami i dobre ziarno wyrywał, ale ileż naodwrót było takich, co zawdzięczali mu opiekę i pomoc, jaką miłością ojcowską otaczał swych wychowanków seminarzystów. Prawda, że miał pewne poglądy, które jaskrawo odbijały od ogólnych zapatrywań, że nieraz drażnił swym uporem, opryskliwością i stanowczością. Szkoda, że tak było; lepiej żeby tego nie było. Ale czy to były „zbrodnie" tego rodzaju, że mogą przemazać jego zasługi?

Najwięcej wrzawy uczyniła, największą jego niepopularność wywołała odmowa udzielenia w katedrze miejsca na grób Słowackiego. Pamiętajmy jednak, że nie on jeden miał odmienne od „ogółu" na tę sprawę zapatrywanie. Nie myślę tu o konserwatystach, ale o ludziach nawet bardzo demokratycznie usposobionych, którzy mimo największego uwielbienia dla geniuszu Słowackiego, nie chcieli zmienić właściwego charakteru Wawelu, jako grobowca królów i wodzów narodu. Kiedy umieszczano w jego podziemiach szczątki Mickiewicza, powszechna była opinia, że czyni się wyłom jedynie na tej zasadzie, iż Mickiewicz był nie tylko poetą, ale wodzem duchowym narodu. Słowacki, równy mu geniuszem poetyckim, może nawet wyższy (rzecz to zapatrywań), tego „polityczno-narodowego", jeżeli się tak można wyrazić, stanowiska nie zajął. Nie było w dziejach jego życia filarectwa, więzienia, wygnania, olbrzymiego wpływu na sprawy i działalność emigracyi, nie było formowania legionu we Włoszech, nie umarł w służbie narodowej nad Bosforem. Jedynie więc dla Mickiewicza uczyniono wyjątek, a jeżeli obok niego spocząłby Słowacki, dlaczego nie miałby spocząć Krasiński, Chopin, Grottger, Matejko... Pomijając już to, że niema tyle miejsca na Wawelu, aby go uczynić grobowcem wszystkich wielkich narodu, słusznieby zapytano: czy tymi wielkimi są tylko geniusze, artyści, czy inne zasługi nie mają równego prawa? Czy np. równą cześć nie należałoby oddać takim biskupom jak Feliński, takim historykom jak Lelewel, a oprócz tego wielkim politykom, ekonomistom, filantropom. Gdzie tu więc byłaby granica? Kto miałby oceniać, czyje zasługi dają prawo do krypty na Wawelu? A jeszcze jedno niebezpieczeństwo: oto każde pokolenie ma swoich „wielkich", których stawia na równi z największymi, a którzy jednak z czasem maleją — potomność często całkiem nie podziela entuzyazmu współczesnych. Otóż możnaby mieć obawę, że w razie śmierci tych wielkich „chwilowych" głos ogólny wołałby: otwórzcie im podwoje Wawelu! Nie ulega np. wątpliwości, że gdyby na Wawelu złożono przed laty 30—40 Słowackiego, Krasińskiego, Grottgera, Chopina — znaleźliby się przy nich i inni „wielcy" z tych np. co spoczywają dziś na Skałce lub na cmentarzach. Oto niedawniej, jak przed tygodniem, wyczytałem w bardzo wpływowym organie zestawione obok siebie trzy największe nazwiska w Polsce — dwa z nich, to Kościuszko i Mickiewicz, trzeciego nie wymieniam, aby nie budzić uśmiechu. A przecież faktem jest, że pewna część opinii udzieliłaby swej aprobaty na to zestawienie i na Wawel dla tego trzeciego. Czy Wawel, zamieniony na taki grobowiec, nie straciłby znaczenia? Czyby nie zmalał wówczas nawet hołd, jaki oddalibyśmy dziś Słowackiemu?

To są właśnie względy słuszne, czy niesłuszne, ale przemawiające dla wielu za tem, aby poprzestać na tym wyłomie, jaki uczyniono dla Mickiewicza. Wolno nie podzielać tych zapatrywań, ale czy miałby kto prawo je napiętnować, zarzucić tym, co je wypowiadali, brak patryotyzmu? Stąd też można się było gniewać i na ś. p. kardynała Puzynę, że nie chciał, jak mówił, „zrobić z Wawelu Westminsteru", ale odmawiać mu za to patryotyzmu, to rzecz conajmniej lekkomyślna. Może jego patryotyzm był odmienny, za mało gorący (według naszego zdania), ale syn majora Krakusów, ale wnuk po matce zwycięzcy pod Stoczkiem, nie potrzebował się uczyć miłości ojczyzny. Swiadczą o niej choćby owe dziesiątki kaplic i kościołów w dyecezyi lwowskiej, świadczą mury katedry wawelskiej. Nie odnawiał jej „ultramontanin", lecz kapłan obywatel, nie stawiał w niej pomników papieży, ale pomniki Jadwigi, Warneńczyka, Oleśnickiego, nie szło mu o wspaniałość katedry biskupiej (choć i do tego jako książę Kościoła miał prawo) ale o największy relikwiarz narodowy.

Wogóle u nas jest „zatrzęsienie" różnych patryotyzmów i trudno byłoby nieznającemu stosunków połapać się, który z tych patryotów jest lepszej próby. Ale ile razy przyjdzie do spełnienia choćby małego obowiązku patryotycznego, tam mało „obywateli" staje do szeregu. Ogromnie patryotycznie kłócimy się o miejsce pod pomnik Kościuszki, ale gdyby nie wyżebrane subwencye u Rady miejskiej i kilku innych instytucyi, to i za 100 lat nie postawilibyśmy go z ofiarności obywateli, bo prawdziwe składki przez lat 20 wyniosły koło 15 tysięcy koron — ba! nie mamy jeszcze pieniędzy na pokrycie kosztów piedestału. Strasznie wiele rozprawiamy o potrzebie ratowania Sląska i zdobywamy się na sprzedaż „kwiatków", przynoszącą tu i owdzie po kilkaset koron. Bojkot towarów pruskich okazał się blagą — kupujemy je jak dawniej. Upadają, lub ledwie wegetują instytucye założone jedynie w celach obrony narodowej, bo brak im członków, którzyby chcieli dać kilka koron rocznie na ich cele. Obce banki podcinają byt polskim — w samym Krakowie otworzyły one w ciągu lat kilku kilkanaście filji, które idą świetnie, bo większość „patryotycznych obywateli" do nich się przeniosła ze swymi finansowymi interesami. Patryotyzm kazał nam przypuścić szturm do Raperswillu — wołaliśmy: brak tam porządku, brak ludzi fachowych, ale na to, aby ten porządek zaprowadzić, tych ludzi osadzić i wynagrodzić, nie dajemy złamanego szeląga. Przez patryotyzm chcieliśmy widzieć Słowackiego na Wawelu, ale na pomnik tego poety zebraliśmy w ciągu lat dwu aż... 1100 koron.

Maleńką, ale charakterystyczną próbką tego patryotyzmu było przyjęcie u nas lubelskiej orkiestry ludowej Namysłowskiego. My strasznie kochamy naszych „braci" z innych prowincyi, a ci bracia przybyli; my ponad wszystko kochamy lud, a ten lud zgłosił się do nas, aby nam się zaprodukować ze swojemi muzykalnemi zdolnościami. Choćbyśmy bali się rozczarowania, należało nam pójść choćby dla okazania dobrej woli i gościnności. I rzeczywiście pełno było, ale... w kabarecie — a na sali koncertowej pustki. Tymczasem, okazało się, żeśmy sami siebie okradli z przyjemnych wrażeń, bo krytyka jednogłośnie przyznała niepoślednie zalety tej orkiestrze, ba! uznała ją za najlepszą z orkiestr polskich. Podziwiała jej wprawność w wykonaniu trudnych kompozycyi, „bajeczną rytmikę, jakiej orkiestry symfoniczne zazwyczaj nie posiadają" — entuzyazmowała się zaś wprost siarczystym temperamentem przy wykonaniu mazurów Namysłowskiego, „jakich już dziś nikt prócz niego nie pisze". I jednogłośnie objawiono zdanie: jeżeli uchwaliliśmy utrzymywać orkiestrę miejską, to takiej nam właśnie potrzeba. Ale radcy miejscy o tem się nie dowiedzą, bo krytyk muzycznych nie czytają, a podczas koncertów Namysłowskiego, przesiadywali w kabaretach, u Hawełki, Wentzla, lub też sami jako „muzykanci" grali... w bridgea i taroka.

Jeżeli mówię, że radcy krytyk muzycznych nie czytają, to nie znaczy, aby nic nie czytali. Obecnie np. z pewnością studyują pilnie w dziennikach przebieg procesu Ronikiera. Przypuszczam, że *Nowości* dadzą w tym numerze szczegóły tej sprawy — a to mnie uwalnia od zajmowania się tą „aktualnością". Zaznaczę jednak, że nietylko ją śledzimy, ale bierzemy poniekąd w niej czynny udział moralny. Bo oto znalazł się w Krakowie dziennik, który wziął w obronę bohatera smutnego procesu i to jak sądzę z pobudek.. patryotycznych. Jakże bowiem inaczej sądzić, gdy czytamy, że skazanie Ronikiera jest postanowione w celu karyery osobistej prokuratora. Korespondent warszawski nie waha się nawet zarzucić sprawozdawcom pism warszawskich, że tendencyjnie przedstawiają przebieg procesu dla zjednania sobie łaski u władz sądowych, bo sprawozdawcami tymi (wyjaśnia) nie są dziennikarze, lecz adwokaci. Zarzut bardzo silny, ale noszący wprost cechy oszczerstwa. Że jakiś korespondent nie wahał się je rzucić, to rzecz dziwna, ale dziwniejsza, że znalazło się pismo, które zaryzykowało umieszczenie podobnej insynuacyi. Czyżby mu tak kazała... polityka.

A w prawdziwej polityce „mimo nagromadzenia się chmur", panuje względna cisza. Wprawdzie sprawa marokańska wciąż trwoży sfery giełdowe, ale spokojni obserwatorowie wielkiej polityki z ironicznym uśmiechem przyjmują pogłoski wojenne. Według nich, kto szablą brząka, ten tylko udaje zucha; kto zbyt głośno zapewnia, że się niczego nie boi, ten najwięcej jest w strachu; kto udaje, że jest pewny siebie, ten odmawia po cichu pacierze, aby nie przyszło komu na myśl pewności tej doświadczyć. A właśnie w obecnej chwili wszyscy kandydaci do bitki pobrząkują szablą i udają odważnych, pewnych siebie. Każdy z nich zawija rękawy i pokazuje pięści, mówiąc: patrzcie co za muskuły, niechno by mnie kto zaczepił! Zmiana tylko ta, że dawniej dla postrachu urządzano wielkie manewry na lądzie, a dziś przeniesiono je na wodę. Popularny „Wiluś" odbywa rewję floty w Kiel, Francuzi popisują się potęgą siły morskiej w Tulonie, a Anglicy niedawno po morzu północnem płoszyli flondry i śledzie. A wszyscy są ogromnie z tych zabaw zadowoleni. W Kiel (donoszą telegramy) „Koła wojskowe są zachwycone przeglądem floty", w Tulonie (też słowa telegramów) „odebrano wrażenie imponujące" — a Anglia nietylko z własnej, ale i z francuskiej cieszy się floty: dzienniki jej podnoszą, że „Delcassé jako minister marynarki przewyższył pokładane w nim nadzieje". Wszystko to, według wspomnianych wyżej obserwatorów wielkiej polityki, każe nam przypuszczać, że pokój przynajmniej na rok bieżący, mamy zapewniony.

W ostatnich latach zwrócił się Rzewuski do studyum filozofii i ogłosił kilka rozpraw, z których uznaniem poważnej krytyki cieszyła się praca „L'optimisme du Schopenhauer". Obecnie pracuje nad studyum o Kancie, a równocześnie pisze dramat „Les fanatiques" dla jednego z większych teatrów paryskich.

Można mieć nadzieję, że powrót St. Rzewuskiego do twórczości w języku rodzinnym, zainauguruje nowy okres jego działalności, z którą teatr polski wiązał nie małe nadzieje. Mając 30 lat pracy literackiej za sobą, wzbogacony doświadczeniem, czerpanem w stolicy Francyi, może St. Rzewuski przysporzyć prawdziwie wartościowych przyczynków polskiej dramatycznej literaturze, z którą nawiązał nici serdeczne wtedy, gdy rozporządzając ogromnym majątkiem, mógł pisać z całą swobodą, nie krępowany więzami materyalnymi lub narzuconymi motywami. Wystawiona w dniu 9 b. m. w teatrze miejskim w Krakowie komedya jego „Nasi na Riwierze", może być tych nadziei pomyślnym zadatkiem.



Proces hrabiego-mordercy: Asesor kolegialny, Szpiganowicz, komisarz X. cyrkułu w Warszawie, który prowadził śledztwo pierwiastkowe.

Proces hrabiego-mordercy.

Rozpoczęty w dniu 6 b. m. proces Bohdana hr. Ronikiera, jest niewątpliwie jedną z największych sensacyi jakie przeżywa Warszawa w czasach powakacyjnych. Jestto istotnie sprawa niezwykle zaciekawiająca zarówno ze względu na osobę oskarżonego arystokraty, ale także okoliczności towarzyszące tajemniczej zbrodni. Wszystkie nici dochodzeń śledczych, wszystkie poszlaki, wszelkie masowe wnioski wyjawiające pobudki zbrodniczego czynu, prowadzą do osoby Bohdana hr. Ronikiera, szwagra tego nieszczęśliwego młodzieńca, który ofiarą życia okupić miał zbrodnicze cele swego mordercy.



Proces hrabiego-mordercy: Bohdan hr. Ronikier, domniemany morderca. (Zdjęcie dokonane we więzieniu).



Proces hrabiego-mordercy: Asesor kolegialny Ludwik Kurnatowski, pomocnik naczelnika policyi śledczej.

A jednak z drugiej strony i wątpliwości nasuwa się tu nie mało. Rzeczowego materyalnego dowodu przeciw oskarżonemu dotąd nie udało się zdobyć, mimo wysiłku śledztwa policyjnego i sądowego, a nawet usiłowaniu prywatnych detektywów.

Przedmiotem najżywszej uwagi trybunału i audytoryum jest oczywiście sam hr. Ronikier. W żółto brudnym płaszczu zapiętym pod szyję, o naciągniętym na głowie kapturze, w którego głębi widać podłużną ascetyczną twarz mnicha-samozwańca, o długiej blond brodzie, hr. Ronikier sprawia wrażenie widma z grobu wywołanego. Na piersiach zatknięty pomiędzy zapięcie habitu widnieje czarny krzyż drewniany, w rękach książka do nabożeństwa czy brewiarz w czarnej oprawie z krzyżem złotym i różaniec.

Ronikier, zagłębiony w swą książkę, zdaje się być nieprzytomnym; stara się usilnie utrzymać w przybranej roli O. Teodora z zakonu Klemensistów, usta jego poruszają się szeptem modlitwy, a wzrok rzadko podnosi się do audytoryum, jakby przytłoczony siłą paruset wpatrzonych weń par oczu.

Od czasu do czasu jednak na ascetycznej twarzy O. Teodora jawią się przelotne błyski, znamionujące, że ten człowiek pracuje całą siłą mózgu. Zauważyć to można podczas zeznań różnych świadków, gdy chodziło o stwierdzenie ważniejszych szczegółów zbrodniczego czynu. Bywało nawet, że na ustach mnicha jawił się przelotny uśmiech, gdy podczas rozpraw padł dowcip, lub zaszedł weselszy epizod.

Twarze dwóch współoskarżonych Zawadzkiego i Siemińskiego, nie przedstawiają szczególniejszych znamion, ot dwa zwykłe typy ludzi z warszawskiego gminu.

Pomiędzy typami ze świata policyjnego największe zainteresowanie budzili naczelnik wydziału śledczego policyi warszawskiej, radca stanu Józef Kowalik i pomocnik jego asesor kolegialny Kurnatowski, znani w Warszawie jako wybitni przedstawiciele policyi kryminalnej. Oni to prowadzili pierwsze policyjne śledztwo i przygotowywali materyał dla sędziego śledczego i prokuratora.



Proces hrabiego-mordercy: Radca stanu Józef Kowalik, naczelnik wydziału śledczego w Warszawie, który kierował śledztwem.

Rozprawy sądowe toczą się już dni pięć, odchyliły wiele zasłony z tajemniczej sprawy, nie doszły jednak do jej jądra. Dowód alibi przeprowadzony przez obronę pozostał w zawieszeniu, zeznania świadków bowiem niezupełnie były pod tym względem zgodne. Obrońca oskarżonego hr. Ronikiera, Bobriszczew-Puszkin, adwokat z Petersburga, prowadzi rzecz swą śmiało i przytomnie, mimo to nie wiele zdołał zdobyć dotąd punktów zaczepienia.



Proces hrabiego-mordercy: Zwłoki ś. p. Stanisława Chrzanowskiego na miejscu zbrodni.

Ciekawymi momentami rozpraw było przesłuchanie pp. Chrzanowskich, rodziców zamordowanego Stasia, oraz pp. Rakowskich, ich wujostwa. Zeznania ich, a zwłaszcza obu wymienionych kobiet, były bardzo dla oskarżonego niekorzystne. Przesłuchanie



Proces hrabiego-mordercy: Świadek Jerzy Suszyński, urzędnik policyi w Warszawie.



Proces hrabiego-mordercy: Świadek, asesor kolegial. Gawryłow, komisarz cyrkułu XII. w Warszawie.



Proces hrabiego-mordercy: Adwokat przysięgły Ettinger, drugi obrońca Zawadzkiego.

całego szeregu osób ze świata literatury, prasy i teatru, rzuciło światło na charakter, usposobienie i światopogląd oskarżonego, który jako autor lubował się w opisywaniu ciemnych stron życia, apoteozowaniu bohaterów zbrodni, a na ogół sprawiał wrażenie zarozumiałego pyszałka, któremu nie dostawało jedynie talentu, charakteru i... pieniędzy.

Na jednem z ostatnich posiedzeń sąd przychylił się do wniosku obrony i uchwalił odbyć oględziny miejsca popełnionej zbrodni t. j. pokojów umeblowanych przy ul. Marszałkowskiej 112, w których popełnioną została zbrodnia.

Pomimo, że w pokojach owych dokonano już zmian, oględziny rozkładu pokojów przez członków trybunału mogą rozjaśnić wszelkie wątpliwe momenta.

Rozprawa ma dotąd przebieg spokojny. Wyroku, który spodziewany jest z końcem bieżącego tygodnia, opinia Warszawy oczekuje z gorączkowym niepokojem.





Proces hrabiego-mordercy:
Feliks Zawadzki, właściciel pokojów umeblowanych, domniemany wspólnik.
Numerowy Siemiński, domniemany wspólnik.

Wystawa przemysłowo-spożywcza w Warszawie.

W wielkiem dziele uprzemysłowienia Królestwa Polskiego, każdy dzień zapisuje jakieś zdarzenia i fakta, posuwające naprzód żywotną sprawę podniesienia dobrobytu kraju i rozszerzenia sfery jego produkcyi przemysłowej.

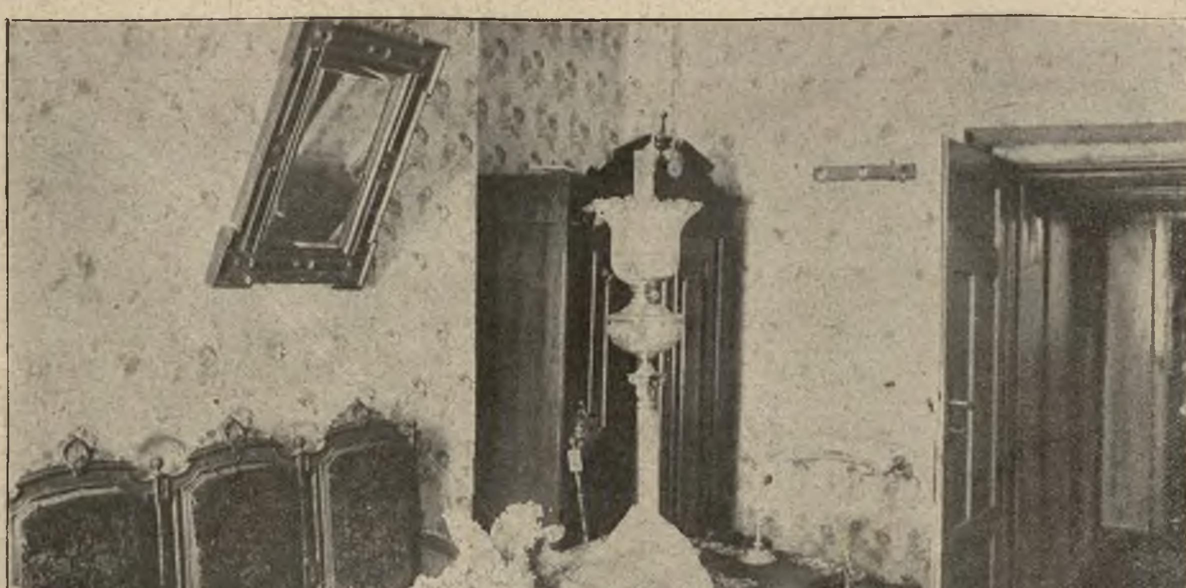
Zdarzeniem takiem jest otwarta w dniu 7. b. m. w Warszawie na Dynasach wystawa przemysłowo-spożywcza wszelkich działów artykułów spożywczych, urządzona staraniem Tow. popierania przemysłu i handlu. Wystawa mieści się w hali głównej murowanej, oraz w dwóch budynkach pomniejszych, nadto wielu prywatnych wystawców pobudowało własne kioski i pawilony. Wiele z nich jeszcze nieskończono, ale z tego, co już wzniesiono, widać, że wystawa będzie znaczną i bardzo ciekawą.

Uroczyste otwarcie wystawy odbyło się w dniu 7. b. m. przy udziale przedstawicieli władz z pomocnikiem generał-gubernatora bar. Essenem na czele w obecności wielu zaproszonych osobistości, przedstawicieli prasy i wystawców.

Wstęgę zamykającą wstęp przecięła pani Józefowa Wegnerowa, poczem komitet i goście rozpoczęli zwiedzanie wystawy.

Większa część wystawców ugaszczała przy tej sposobności uczestników uroczystości próbami swoich wyrobów.

Ilustracye z tejże wystawy zamieszczamy na str. 4-tej dzisiejszego numeru.



Proces hrabiego-mordercy: Pokój, sąsiadujący z tym, w którym dokonano morderstwa.



Proces hrabiego-mordercy: Drugi obrońca, hr. Ronikiera, adwokat przysięgły Bobriszczew-Puszkin.

Jadwiga Mrozowska.

Zmiana sezonu teatralnego, połączona z wygaśnięciem sześciolecia dzierżawy teatru miejskiego w Krakowie, pociągnęła za sobą w skutkach także zmianę pewnej części personalu sceny krakowskiej, która rok rocznie zasila się przybytkiem nowych sił w miejsce ustępujących.

Troską dyrekcyi, komisyi artystycznej i publiczności jest jednak, aby te zmiany działy się z korzyścią dla teatru, z uwzględnieniem niezbędnych potrzeb i tworzących się w pewnych wydziałach ról luk personalu, psujących wzorowy niekiedy zespół artystyczny sił sceny krakowskiej.

Bieżący sezon jesienny przyniósł teatrowi krakowskiemu siłę pierwszorzędną, dawną ulubienicę publiczności krakowskiej a jedną z najwybitniejszych artystek polskich, p. Jadwigę Mrozowską. Po pięcioletniej przerwie wraca ona na scenę krakowską, aby zadzierzgnąć na nowo węzły ze sztuką dramatyczną i publicznością krakowską, która miała sposobność być świadkiem skrystalizowania się niepowszedniego talentu świetnej artystki. Krakowowi zawdzięcza pani Mrozowska ten wielki w rozwoju swej karyery artystycznej okres, w którym talent jej rozbłysnął wszystkiemi barwami i stanął na wyżynie sztuki, zapewniającej jej kapłankom miejsce w pierwszych szeregach.



Jadwiga Mrozowska, artystka teatru miejskiego w Krakowie.

Na horyzoncie polskiej sztuki dramatycznej Jadwiga Mrozowska jest rzadkim typem artystki o wszechstronnem uzdolnieniu. Jako aktorka dramatyczna zdobyła ona sobie zaraz w początkach swej karyery stanowisko wybitne, jako przedstawicielka ról liryczno-dramatycznych i salonowych. Już jako artystkę pierwszorzędną powitał ją Kraków przed laty sześciu, gdy przybyła ze Lwowa objąć stanowisko po p. Siemaszkowej. W ciągu krótkiego swego na scenie krakowskiej pobytu, p. Mrozowska zdobyła sobie wyjątkową sympatyę publiczności, wydatną i owocną pracą, która wsparta wielkim talentem pozwalała jej zagarnąć szeroką sferę ról i stać się podporą ansamblu krakowskiego. Z szczerem też żalem żegnał ją Kraków, gdy w r. 1905 opuszczała nasze miasto, aby się poświęcić karyerze operowej. Odtąd głuche już tylko wieści dobiegały nas z obczyzny o jej przygotowaniach do występów w operze a następnie o sukcesach, jakie artystka nasza zbiera, jako śpiewaczka operowa na scenach włoskich. Po roku nauki śpiewu u Reszkego w Paryżu, powróciła pani Mrozowska na rok jeden do dramatu i występowała w Warszawie. Ale idea śpiewu, chęć wypróbowania swego talentu i swych zasobów artystycznych na scenach operowych, ogarnęła ją tak silnie, że porzuciła teatr warszawski i z końcem roku 1906 wyjechała na dalszą naukę śpiewu do Włoch. Trzy lata studyów w Rzymie a dwa w Medyolanie u maestra Guarrino dopełniły wykształcenia wokalnego artystki, która niebawem też zaczęła probować swych sił na deskach najpierw w miejscowości kąpielowej Varese pod Medyolanem, następnie we Florencyi i Medyolanie.

Najcelniejszemi kreacyami operowemi pani Mrozowskiej były partye Małgorzaty w „Fauście“, Neddy w „Pajacach“, Carmeli w Giordana „Mese Mariano“ i Mimi w „Cyganeryi“.

Pomimo wyjątkowego powodzenia w operze, artystka przyszła jednak do przekonania, że praca w dramacie daje jej talentowi nie tylko szersze pole ale i większą pełnię zadowolenia. I ta okoliczność spowodowała ją do powrotu na deski dramatu. Nie wyrzekając się karyery śpiewaczki operowej, która ją wielce pociąga, przyjęła na razie propozycyę dyrektora Solskiego zaangażowania się na scenę krakowską.

Pobyt p. Mrozowskiej w teatrze krakowskim jest na razie określonym na kilka tylko miesięcy, po którym to terminie artystka zamierza powrócić do Włoch i śpiewać w operze. Miejmy nadzieję jednak, że umiłowany teren pracy i sympatya, z jaką ją wita Kraków, skłonią p. Mrozowską do zmiany decyzyi i pozostania na scenie, która nie była jej nigdy macochą.

P. Mrozowska rozpoczęła swe występy w Krakowie rolą służącej Antosi w „Chorym z urojenia“ Moliera, poczem odtworzyć ma cały cykl najlepszych swych ról a mianowicie „Psyche“ w sztuce Żuławskiego, Vittorina w „Odrodzeniu“ i kilka innych z dawniejszego swego repertuaru. Nadto ukaże się później w całym cyklu sztuk nowych, które dotąd dla braku odpowiedniej artystki nie mogły być w Krakowie wystawiane, jak np. „Kobieta i pajac“ Piotra Lonysa, „Skandal“ H. Battaille'a, „Półdziewice“ Prevosta i inne.



Jadwiga Mrozowska w roli Małgorzaty w „Fauście“.



Jadwiga Mrozowska w roli „Lady Macbeth“.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 35.

Łamigłówka:

Woda
byt
krew
ława
azew
spis
lecz
ezar
zima
pole
ułan
ikar
ezaw
snop
okno
lina
anna
krak
ból
wilk

Arytmogryf:

K a w k i
R u m a k
A t l a s
S o p ó w
Z e r o
E i s a k
W y r a z
S m a l e c
K a c z k a
I m b r y k

Łamigłówka:

Arena
Napis
Napad
Amant
Korea
Akord
Rulon
Eliza
Nauka
Irena
Nimfa
Alarm

Kwadrat magiczny:

M a r m o r a
M a r a t o n
M a n t y l a
M a t e j k o
M a r j a s z
M a s k a w a
M a j o r a t

Szarada: Podolak.

Zadanie do przestawienia: Od rzemczyka do koniczka, aż nareszcie szubieniczka.

Szarada: Kość-uszko, Kościuszko.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, Z. Tranda Chyrów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Poronin, J. Bartoszewicz Poronin, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, J. Hillenbrand Kraków, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Kraków, L. Scholz Stanisławów, M. Cichocka Lwów, F. Obst Tarnopol, J. Ostrowski Sandomierz, K. Świrski Staszów, J. Bandrowski Częstochowa, K. Kwaśniewski Przemyśl, M. Jarosiewicz Sanok, M. Więckowska Warszawa, J. Thun Płock, S. Kalinowski Jasło, W. Kula Kraków, A. Stopka Żywiec, M. Wojkowski Tarnopol, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, A. Siatka Kraków, J. Gorecki Sanok, S. Wiewiórowski Stanisławów, H. Wilczkiewicz Sambor, S. Ropski Warszawa, K. Radoszewski Tarnów, Z. Długołęcki Petersburg, J. Przeworski Toruń, S. Türk Kołomyja, J. Singer Tarnopol, H. Piątek Podwołoczyska, J. Obraczay Sanok, H. Grabowski Jasło, W. Radwański Zakopane, J. Michalski Sanok, M. Trojacka Wiedeń, L. Sapiecki Szczawnica, J. Lipski Kraków, H. Bernstein Warszawa, H. Łopatyńska Lwów, K. Bruda Drohobycz, J. Frankowicz Staszów, F. Schmidt Wiedeń, A. Serwatowski Warszawa, J. Zielińska Rzeszów, J. Urban Lwów, B. Michalec Zakopane, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, M. Ołeksiukowa Holeszów, M. Arbesbauer Lwów, Urząd pocztowy Jasionów, W. Morawski Warszawa, Z. Barber Kraków, F. Buchowa Kraków, Z. de Boulangé Gawłówek, A. Bocsoń Bóbrka, A. Mussil Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, T. Nikiel Nowy Sącz, J. Horak Tarnobrzeg, M. Czernecki Złoczów, J. Karaś Zakopane, C. Wang Nisko, J. Engelberg Rzeszów, M. Kruszelnicka Tarnów, J. Sawliński Przemyśl, J. Rosenbaum Jasło, H. Górski Zamość, Z. Radziński Rzeszów. M. Radzińska Kraków. S. Dziurzyński Zakopane, K. Zięba Sanok, A. Balicki Tarnów, Z. Gliński Kołomyja, J. Czarkowski Stryj, K. Michalski Jaworów, J. Trepka Sandomierz, T. Mazaraki Radom. M. Popiel Rzeszów, A. Dużak Kraków, J. Jahoda Cieszyn, S. Lindenbaum Stanisławów, K. Armatys Lwów, A. Augustynowicz Kraków, J. Ryś Rzeszów, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Jeziorski Krynica, M. Antosz Kołomyja, J. Włodek Zakopane, J. Zachara Mielec, Z. Potocka Kraków, J. Leszczyński Sanok, H. Krogulska Warszawa. M. Glińska Kuty, K. Armatowicz Petersburg, Z. Kisielewski Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Przeworski Toruń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

C. k. Dyrekcya Kolei Państwowych w Krakowie donosi: Dnia 20 września 1911 zostanie otwartym na linii kolei lokalnej Piła-Bolęcin-Jaworzno pomiędzy Byczyną a Jaworznem w kl 23·131 przystanek osobowy i ładownia Szyb Sobieski dla ruchu osobowego, pakunkowego i towarowego (a to tylko dla ładug całowozowych).

Wydawanie biletów jazdy, jakoteż ekspedycya pakunków i towarów będzie uskutecznianą w tymże przystanku. Równocześnie zostaje zamkniętą ładownia „Domsgrube", leżąca w km. 22 166 powyższej linii.

Fotografia artystyczna jest dziś przez najinteligentniejszą publiczność poszukiwaną i wielce cenioną — przeto zwracamy uwagę Sz. P. T. Publiczności na nasz

Pierwszorzędny Zakład artystycz.-fotograficzny „ADELA“
w Krakowie, przy ul. Szczepańskiej L. 2
(Plac Gwardyi Narodowej).

który wykonuje wszelkiego rodzaju i formatu fotografie gustownie, z prawdziwym smakiem artystycznym, przy zastosowaniu najnowszych ulepszeń technicznych.

Szczególną uwagę zwracamy na **najnowszy system zdjęć pokojowych,** które uskuteczniamy z precyzyą.

Nowo otworzony magazyn towarów bławatnych i płócien
Józef Pietsch, Kraków, ul. Szewska 2
poleca **ostatnie nowości** **na sezon jesienny i zimowy** towar tylko doborowy, **ceny nadzwyczaj niskie.**

Bieliznę męską białą i kolorową ze słynną marką



poleca Magazyn Nowości i Kapeluszy
A. Skórczewskiego i Polakiewicza
Kraków, ul. Floryańska l. 13.

Jak ochronić się przed zbyt liczną rodziną? Precz ze szkodliwemi artykułami „hygienicznymi“. Szalonej wagi odkrycie dra Müllera. Broszura naukowa. Wysyła za nadesłaniem 50 h., lub 40 kop. w znaczkach poczt. Agencya „Stella“ Kraków, Starowiślna 8/J.

OBUWIE „MARSO“

W cenach
K 10·50, 12·50, 16·50



Kraków, Grodzka 20.

Zapewniony byt!

Do sprzedaży pewnej, chrześcijańskiej, religijnej nowości, poszukiwani są wszędzie odsprzedawcy pod bardzo dogodnymi warunkami. Dzienny zarobek K 50·—. Każdy kupuje ten artykuł. Dotąd sprzedanych przeszło 100.000 egzemplarzy.

A. Zehner, Wiedeń VI., Barnabitengasse 3.

Bardzo ważne dla Panów

Przy świeżym i przestarzałym wycieku okazały się niezrównane:

Dra Leras'a
Injekcye Palmyren à K 3·—
Santal Palmyren à K 2·50.

Dr. J. L. w G. pisze nam:

Pańskie przetwory, zastosowane u moich pacyentów, są znakomite, zupełne wyleczenie nastąpiło w 7 dniach.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

Proszę żądać wyraźnie **Dra Lerasa Palmyren.**

Kraków: Apteka Grabowskiego.
Lwów: Apteka pod srebr. orłem K. Dülla.
Przemyśl: Apteka M. Schwarza. „En gross“: W wielk. drogueryach.



Tylko wprost
z Pierwszej śląskiej fabryki „SUDETIA“
Jägerndorf 17 (Śląsk austr.)
kupujcie materyały na ubrania
dla Panów i Pań jakoteż i
śląskie płótna
najlepszego gatunku po najtańszych cenach fabrycznych
Zachwycające nowości sezonowe! — Resztki za bezcen.
Prosimy zażądać wzorów!

Tanie czeskie PIERZE



5 kilo nowego, dartego K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona
Benedykt Sachsel, Lobes N. 26[5] obok Pilzna, Czechy.

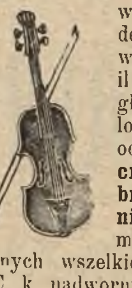
Przeglądnij Pan!

przed zakupnem towarów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju mój bogato illustrowany główny katalog z 4000 rycinami, który na żądanie każdemu darmo i opłatnie wysyłam.
C. i k. dostawca dworu
HANNS KONRAD
w Brüx Nr. 2952.
(Czechy).

NERWOWI

słabowici, chorzy na żołądek, serce, piersi oraz cierpiący na brak krwi, apetytu i snu, na zawroty głowy, drżączkę i epilepsyę niechaj piją codziennie
Rosena „Teon“ (herbata wzmacniająca i odżywiająca).
Cena: 2 kartony K 2·30, 6 kart. K 6·—, 12 kart. K 11·—. Przy przesłaniu pieniędzy naprzód, wysyłka opłacona, przy zaliczce 50 hal. więcej.
Mr. Philipp Rosen, aptekarz **Sitzendorf** 85/22 koło Wiednia N. Oesterr.

Bez kosztów



wysyłam każdemu swój wielki obficie ilustrowany główny katalog z 4·000 odbitek, **mocnych dobrych i tanich** instrumentów muzycznych wszelkiego rodzaju.
C. k. nadworny dostawca
HANNS KONRAD
dom wysyłkowy instrumentów muzycznych, Brüx Nr. 2918 (Czechy). **Skrzypce dla uczniów** po 4·80, 5·50, 6·—, 6·80 K. smyczki po —·80 1· . 1·40, 1·80 K. Niema ryzyka. Dozwolona wymiana lub zwrot pieniędzy.

Heldolana

wspaniałe mydło piękności światowej sławy. **Zupełnie nieszkodliwe.** — Usuwa wszelkie **piegi, zmarszczki, pryszcze, plamy** i t. d., i nadaje cerze świeżość, gładkość. Cena za puszkę z opisem K 1·50. Do nabycia we Lwowie w aptece p. Jezierskiego, ul. Gródecka 30 i w droguery Gródecka 23, a w Krakowie, w aptece XIV., przy ul. Lubicz.

Baczność!

100.000 par bucików do sznurowania
4 pary bucików tylko Kor. 10·—

Skartelowanie się naszych konkurentów spowodowało naszą Centralę do **wydania specyalnej oferty** dla ludzi **prywatnych** i dlatego sprzedajemy każdemu **2 pary męskich i 2 pary damskich bucików skórkowych** do sznurowania, brązowych lub czarnych, nadzwyczaj eleganckich, fason najświeższy, wielkość wedle podanego numeru za **4 pary razem tylko Kor. 10·—.** Wysyła za zaliczką

Schuhzentrale w Oświęcimiu
Austrya.
Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy

Gumowe i rybie

artykuły hygieniczne dla pań i panów oraz inne środki ochronne z powodu wielkiego zbytu niezleżałe zawsze świeże poleca **taniej jak wszędzie**

Droguerya Z. Komorowskiego
w Krakowie, ul. Floryańska L. 33 róg ul. św. Marka.

Wysyłki na prowincyę **opłatnie nie licząc opakowania** dyskretnie po Kor. 5·—, 7·— i 10·— za tuzin.

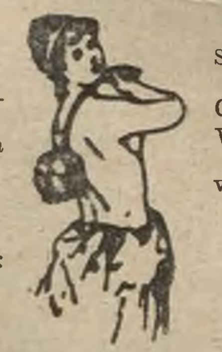
= Na sezon = jesienny i zimowy

POLECA **„SZATNIA“** spółka z ogran. odpow.
w Krakowie, ul. Sławkowska 14

obficie zaopatrzony magazyn w wszelkiego rodzaju ubrania męskie oraz uniformy dla P. T. Studentów.
Ceny nader niskie. **Materyał doborowy.**
Specyalność firmy ubrania sportowe.

PERFUMY, KREMY, PUDRY, MYDŁA
z najsłynniejszych fabryk.
Nowość! **„PNEUMO“** Nowość!
aparat do masażu pneumatycznego polecany przez **Dra Lustra** specyalistę lekarsk. kosmetyki i chorób włosów

Krem i Otrąbki.
Abarid
do zmywania twarzy.
Woda różanno-radioaktywna.
Kremy do upiększenia cery:
Floreine
Brise exotique. Pate antirides.
Wody na włosy:
Tarool firmy Braband
Tetral „ Trisota.
Eau Philotric.



Przybory toaletowe.
Szczotki, grzebienie, lustra.
Gąbki toaletowe.
Wanny i miednice gumowe oraz
wszelkie nowości kosmetyczne i hygieniczne ogłaszane i polecane w pismach kraj. i zagranicznych zawsze na składzie.

LAWN-TENNIS



Rakiety, piłki, prasy.



PIŁKI NOŻNE.
Największy wybór ameryk. łyżew „WROTKI“ na kółkach
oraz wszelkie artykuły sportowe na sezon letni polecają
Reim i Ska, Kraków
Rynek 37, Linia A-B.

Wyroby szczotkarskie.
Rogóżki kokosowe, szczotkowe i żelazne.
Wałeczki kit i gips do uszczelniania drzwi i okien od zimna.

Bile z prawdziwej kości słoniowej i masówki
Kije, kręgielki, skórki i wszelkie przybory bilardowe.
Szachy, sztony, domina i karto do gry.

Kalosze oryginalne rosyjskie i amerykańskie.
w największym wyborze.



Niema kurzu.
MATERACE
Niema kosztów naprawy,

Niema robactwa.
„Polonia“ są do nabycia we wszystkich większych składach mebli.
Długoletnia gwarancya.

Pierwsza galicyjska fabryka patentowanych sprężynowych materaców „Polonia“
sp. z z. odp. Podgórze.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

TOM I.

W poszukiwaniu wielkiego rubinu.

ROZDZIAŁ I.

Dziwny testament mego dziadka.

Historya poniższa jest bardzo prosta, a starać się będę ją opowiedzieć w sposób możliwie najprostszy, zdaje mi się bowiem, że sama przez się jest dostatecznie zajmującą i okropną, więc nie potrzebuje stroić się w sztuczne upiększenia stylowe. Jakkolwiek mało czytałem, wiem jednak, że w wielu dziełach głębsze, oryginalne, estetyczne i etyczne komentarze, jakimi autor przyozdabia interesującą treść swego utworu, przyczyniają się w znacznej mierze do powodzenia książki. Z dzieł takich uważny czytelnik wyciągnąć może nieraz wskazówki, regulujące mu własne życie i dlatego ich twórcy poczytywani bywają za dobroczyńców ludzkości. Lecz ja, Kacper Trenoweth, człowiek skromny, nie zbyt wykształcony i pozbawiony wszelkiej miłości własnej, nie mam prawa stawać w ich szeregu, chociaż ośmielam się wyrazić mniemanie, że opowieść moja posiadać musi pewne znaczenie, chociażby dlatego, że jest poniekąd jakby ostatnim rozdziałem (daj Boże, aby była nim istotnie!) przygód drogocennego kamienia, zwanego „olbrzymim rubinem cejlońskim", oraz usuwa zasłonę, pokrywającą w ciągu lat kilku pewne tajemnicze wypadki, które rozgrywały się na dalszych i bliższych lądu naszego morzach.

Aby zaś rzecz rozpocząć jasno i zrozumiale, cofnąć się muszę o pół wieku wstecz, w celu zapoznania łaskawego czytelnika z testamentem mego dziadka, Amosa Trenoweth, z Lantrig w hrabstwie Cornouailles.

Stary dwór w Lantrig, dziedziczna siedziba rodziny Trenowethów, położony jest na północnozachód przylądka Lizard, wprost Atlantyku, przy północnej wklęsłości małej, piaszczystej zatoki, będącej niegdyś polem działalności przemytników, dziś jednak służącej za schronienie dla statków, należących do spokojnych rybaków z Polkimbra. Za mojego dziadka — jeśli to, co mowią jest prawdą — zatoka ta, zwana „Zatoką gotowych pieniędzy", widziała często przesuwający się po jej wodach ładunek koniaku i koronek, przeznaczony do piwnic i składów w Lantrig. Opowiadają nawet — a nie włożyłbym ręki w ogień na dowód, że opowiadanie nosi na sobie cechę bajki — o walce, jaką stoczyć miał jacht Amosa, noszący miano „Dumy serca", z pewną barką należącą do komory celnej, oraz o strzale który padł z wymienionego jachtu i położył trupem jednego z celników. Lecz treść tych wszystkich relacyi tonie (przynajmniej dla mnie) w mroku tajemniczym, więc nie wspominałbym o nich, gdyby do pewnego stopnia nie tłómaczyły nagłego zniknięcia mego dziadka. Dokąd się udał? Nikt nigdy nie wiedział na pewno. Niektórzy twierdzili, że poleciał bić się z Francuzami, lecz gdy w jakie dwadzieścia lat potem wrócił niespodzianie, nie mówił wcale o współczesnych walkach morskich, chociaż o czemkolwiek bądź innem nie mówił również. Nie lubiano zadawać mu pytań, stał się bowiem małomówny i zamknięty w sobie; nie zwierzał się z myśli i spraw swoich przed nikim. Nie chciał uchodzić za bogacza, a ponieważ potrzeby jego były bardzo ograniczone i skromne, więc nikt go nie posądzał o bogactwo.

Mniej więcej w owym czasie zmarł mu ojciec. Wtedy, jako dziedzic, objął Lantrig w posiadanie i osiedliwszy się we dworku, otoczył starą matkę swoją czułemi staraniami. Po jej zgonie, ożenił się z panną z rodu Triggs i z nią miał syna, mego ojca, Ezechiela Trenoweth.

Słyszałem — a temu przeczyć nie myślę — że młodość mego dziadka była bujną, burzliwą i zawadyacką, że nie lękał się on ani Boga, ani ludzi, ani dyabła. Przed powrotem do zakątka rodzinnego jednakże, stał się — nie wiem tylko napewno, gdzie i kiedy — bardzo religijnym. Utwierdziły go w głębokiej wierze kazania niejakiego Jonatana Wilkinsa, metodysty, który przybył do nas z północy, a słowem Bożem umiał do dna poruszać sumienia grzeszników. W sercu takiego człowieka, jak mój dziadek, religia — odpowiednio do natury jego usposobienia — stała się chmurną i pozbawioną wszelkiej radosnej otuchy; cała przesiąknięta była obawą piekła i przekonaniem, że wszyscy ludzie dźwigają na duszach brzemię ciężkich przewinień. Była jednak szczera, żona jego bowiem, Filipina, wierzyła w nią głęboko. Starzy państwo z Lantrig, uchodzili oboje za chlubę i siłę pobożnych zgromadzeń w Polkimbrze. Po śmierci Filipiny, Amos, przejęty żalem i smutkiem, a może dręczony wyrzutami sumienia, zamknął się w starym domu, ukazując się ludziom tylko kiedy niekiedy, bardzo rzadko. W takiem osamotnieniu zmarł 27 października 1837 roku, pozostawiając po sobie jedyną opłakującą go osobę, syna Ezechiela, rzeźkiego, silnego i pięknego chłopca, liczącego wówczas dwadzieścia dwa lata.

Przywodzi mi to na pamięć, że miałem zapoznać czytelnika z testamentem mego dziadka, znalezionym po jego śmierci w pozostałych po nim papierach, Nikt prawdopodobnie nie zredagował nigdy dziwaczniejszego i bardziej zagmatwanego dokumentu, zwłaszcza, że w położeniu ówczesnem, testament nie był wcale potrzebny, nieboszczyk bowiem pozostawiał jedynego sukcesora. Sądzono, że chmurne dnie przedzgonnej samotności zmarłego, przeszły mu w rozterce, jaką wywoływać musiały w jego duszy wspomnienia pożałowania godnej, a może nawet i zbrodniczej przeszłości, wspomnienia zaś te pomieszały mu zmysły i dały pochop do napisania niedorzecznego aktu. Wśród sąsiadów szeptano podobno, że Amos Trenoweth nie umrze bez dokonania jawnej spowiedzi. Mylono się jednakże, nie znano bowiem charakteru mego dziadka.

Testament miał datę 15 lipca 1837 roku i brzmiał jak następuje:

„Ja, Amos Trenoweth, z Lantrig, posiadłości należącej do parafii Polkimbra w hrabstwie Cornauailles, czując w roku Pańskim 1837, że siły fizyczne mnie opuszczają, a zbliża się godzina w której powołany zostanę do zdania rachunku z moich licznych i poważnych grzechów, wyrażam ze względu na czyhającą na mnie śmierć, aktem niniejszym moje ostatnie postanowienie, zwrócone ku memu synowi Ezechielowi, tudzież ku potomkom, których on mieć może. Więc synowi memu Ezechielowi darowuję i zapisuję wszelkie do mnie należące ruchomości, oraz grunta i dom w Lantrig, wyrażając najgorętsze życzenie, aby mu wystarczyły na utrzymanie, oraz na zapewnienie bytu jego potomkom, mającym żyć w błogosławionej pobożności, wiem bowiem o ile ona przewyższa bogactwa tego świata i wszelakie zadowolenia grzesznego ciała. Lecz wiedząc również, jak rzeczy ludzkie łatwo ulegają zmianom, rozkazuję niniejszym aktem i postanawiam: gdyby nadeszła chwila, w której syn mój albo jego potomkowie popadliby w nędzę i ubóstwo, aby ten, który wówczas będzie głową rodziny naszej Trenowethów, spełnił wiernie i formalnie moją wolę ostatnią. Wsiąść on musi na pokład okrętu, udającego się do Bombaju w Indyach, tam zaś udać się do Eliha Sandersona, albo jego spadkobierców i przedstawiając im ten oto mój testament, wyrażający moją wolę ostatnią, oraz Biblię świętą, dziś zamkniętą w trzeciej szufladzie mego biurka, dokonać ma ściśle i akuratnie wszelkiej instrukcyi, udzielonej mu przez wyżej wymienionego Eliha Sandersona, albo przez tegoż Sandersona sukcesorów.

„Rozkazuję i polecam nadto, pod grozą przekleństwa, aby klucz żelazny, wiszący na środkowej belce sufitu w sieni, nie był ani dotykany ani poruszany do czasu, w którym ten, który podejmie powyższe zadanie i spełni je należycie, powróci z podróży i przekroczy próg domu mego w Lantrig. Proszę przytem, by tego, o czem mowa wyżej, nie rozpoczynać nie w porę i lekkomyślnie, lecz dopiero pod naciskiem najsroższej, ostatecznej potrzeby, inaczej bowiem narazić się może na straszne i trwałe zmartwienia. Mówię to, bo świadom jestem duchowych i ziemskich niebezpieczeństw, na jakie zostanie wystawiony, sam bowiem byłem już blizki zaprzepaszczenia ciała i zguby własnej duszy, słowem ogromnych nieszczęść, które jednak Chrystus w dobroci swojej nieskończonej, raczył odwrócić odemnie. Teraz, uwolniwszy mój umysł od niepokojącego go wielkiego strapienia, polecam ducha mego Bogu, przed najwyższym trybunałem którego zmuszony będę stawić się wkrótce, ja, najgorszy z grzeszników, który pomimo to nie stracił nadziei Odkupienia, dzięki łasce Chrystusa Pana. Amen.

Amos Trenoweth".

Takim był testament mego dziadka, nakreślony pismem krzywem i niekształtnem, pozbawiony wszelkich form i justyfikacyi prawnych, lecz — jak już wyżej powiedziałem — nie były one potrzebne wcale. Ojciec mój uczynił dobrze według mego przekonania, nie pokazując go nikomu obcemu. Spokojnie zaczął się zajmować zarządem naszej posiadłości ziemskiej i interesami, którymi kierował już w ostatnich latach życia starca. Następnie, powoli — powoli, wyrzekł się odosobnienia, w jakiem przebywał do śmierci rodzica. Szukał nawet żony, z początku bardzo leniwie i ślamazarnie, aż nareszcie uległszy czarowi czarnych oczu Margery Fruthy, poprosił o jej rękę i pojął ją za małżonkę.

Pierwsze lata ich pożycia, sądzą cztego z jaką matka moja o nich wspominała zawsze, musiały być bardzo szczęśliwe. Przypuszczam, że i moje przyjście na świat wywołało większe zadowolenie w rodzinie, niż cała moja następna działalność jako dorastającego chłopca. Ale wkrótce, gdy ukończyłem lat cztery, wszystko, co stanowiło istotę naszego bytu, psuć się zaczęło nagle. Dwa statki, w które ojciec włożył znaczny kapitał, zatonęły w drodze do Ameryki. Potem zaraza złośliwa poraziła nasze bydło tak, że niemal naraz padło całe stado, co do jednej sztuki. Wreszcie finansista, posiadający w depozycie całą naszą gotowiznę, zbankrutował niespodzianie. Pozostaliśmy bez grosza, zmuszeni nadto hipotecznymi ciężarami do sprzedania Lantrig.

Wtedy to dopiero, jak się o tem dowiedziałem później od matki, przypomniano sobie i wydobyto z ukrycia testament Amosa Trenoweth. Ona, moja biedna, droga mateczka, nie wiedziała dotąd, że istnieje taki tajemniczy pergamin. Serce jej ścisnęło się boleśnie, gdy wyczytała na nim, jakie niebezpieczeństwa grożą duszy i ciału tego, który podejmie się spełnić trudne zadanie. Jej brat ukochany zginął przed laty na morzu, okrążając Przylądek Dobrej Nadziei, uważała je więc za okrutnego i zdradnego wroga, drżąc na myśl samą, że życie najdroższego Ezechiela zależeć może od podmuchu wichrów na Oceanie. Dwa lata całe łzy i błagania młodej kobiety zatrzymały ojca pod dachem rodzinnym, lecz wreszcie, gdy sytuacya stawała się coraz trudniejszą i przykrzejszą, gdy z żalem należało myśleć o pozbyciu się dziedzicznej siedziby Trenowethów, gdy — o ile godziło się przypuszczać — czekał nas przy

końcu poszukiwań jakiś skarb, mogący rodzinę wyprowadzić z kłopotów, bieda przemogła wahanie. Za zgodą matki, zalewającej się jednak łzami, postanowiono, że ojciec mój uda się do Bombaju w celu wyszukania wymienionego w testamencie Eliha Sandersona. Przeczekawszy pierwsze, najsroższe miesiące zimowe i poleciwszy nas oboje staraniom ciotki swojej Elżbiety Loveday z Lizard, pozostawiwszy na nasze potrzeby nieznaczną kwotę pieniężną, jaką zdołał zgromadzić (w rzeczy samej suma była bardzo mała), w chmurny i smutny dzień lutowy ruszył on do Plymuth, gdzie wsiąść miał na pokład okrętu, noszącego miano „Fali złotej" i popłynąć w świat obcy i daleki, w celu wyszukania należnego nam spadku.

ROZDZIAŁ II.

W którym mowa o krzyku, jaki matka moja usłyszała w nocy.

Ojciec mój wyjechał, unosząc z sobą testament, zaszyty dla bezpieczeństwa w ubranie, które miał na sobie, oraz małą biblię, starannie również ukrytą w walizce.

Tymczasem wielki klucz żelazny wisiał sobie spokojnie u sufitu, pokryty grubą warstwą pajęczyny; pająki bowiem wiedziały, że to jest jedyne miejsce w domu, którego nigdy nie dosięgała zmiotka mojej matki. Pająki owe, silnie wyryły się w mojej pamięci, jako poniekąd bierne współczynniki tego, co się u nas dziać miało — a wyznam szczerze, że nawet postać ojca z chwili, w której nas opuszczał, pozostawiła w umyśle dziecięcym tylko niepewne i mgliste wspomnienie. Tkwił w nim jako wysoki, piękny mężczyzna o szarych oczach, z jakimś dziwnym w nich wyrazem, czasem ponurym, prawdopodobnie odziedziczonym po Amosie czasem zaś pełnym niewysłowionej dobroci i słodyczy.

Wiedliśmy w Landring życie bardzo spokojne, jak zresztą wszyscy mieszkańcy naszego zachodniego wybrzeża. Przypominam sobie moją matkę, kręcącą się po domu i wymyślającą przeróżne kombinacye, mające na celu związanie końca z końcem w naszym skromnym budżecie. Najlepiej jednak ją pamiętam klęczącą w kościele i modlącą się gorąco o pomyślny powrót nieobecnego męża, albo w sali zgromadzeń współwyznawców, do której zachodziła niekiedy, więcej dla zrobienia przyjemności ciotce Elżbiecie, niż dla własnej potrzeby lub satysfakcyi.

Życzeniem mego ojca było do dość dawna, abym stał się „uczonym", co w owych czasach oznaczało: dziecko, umiejące czytać mniej więcej gładko i płynnie. Jednem zatem z głównych zajęć mojej matki było naprzód: zapoznanie mnie z wielkiemi i małemi literami, potem nauka sylabizowania i czytania na starym elementarzu. Już w nim odczytywałem dość poprawnie drobne powiastki, a w tomach „Wycieczkę pielgrzyma" i „Wojnę świętą", gdy nadszedł pierwszy list od ojca.

Przed przekopaniem kanału suezkiego podróż do Indyi nie była sprawą łatwą, bacząc na konieczność okrążenia zdradnego Przylądka Dobrej Nadziei i przepłynięcia mórz, na których okręt mógł nieraz parę tygodni nie poruszać się wcale, z powodu panującej na nich zupełnej ciszy. Nic więc dziwnego, że list mego ojca, pisany z Bombaju, doszedł nas wcale nierychło.

Zawarte w nim wiadomości były dobre.

Ojciec widział się z panem Elihu Sandersonem, synem wymienionego w testamencie; doręczył mu pergamin i biblię i otrzymał od niego kilka biletów bankowych (przysłał nam je prawie wszystkie) wraz z opieczętowanym pakietem, na którym ręką Amosa Trenoweth wypisane były następujące wyrazy:

Przedstawicielowi mojej rodziny, który śmiało chce zajrzeć niebezpieczeństwom w oczy i postanowił stawić im czoło.

Pakiet zawierał przedmioty tajemnicze, o których ojciec mówić będzie z ukochaną żoną dopiero, gdy powróci. Dodał jeszcze, że jak dotąd nie przewiduje żadnego niebezpieczeństwa, ani jakiejkolwiekbądź przyczyny, mogącej wzbudzać niepokój. Ma udać się do Ceylonu, gdzie zamierza — zaraz po spełnieniu instrukcyi, mieszczących się w pakiecie — wsiąść na statek, odpływający do Anglii. Taką była treść listu.

Ma się rozumieć znajdowały się w nim nadto różne tkliwe słowa i zwroty, pełne czułej troskliwości o Margery i małego, z wyrażeniem nadziei, że Kasperek — jak na prawdziwego uczonego przystało — list cały sam przeczyta, czem matkę najdroższą ucieszy niezawodnie. Wyrazy powyższe wycisnęły z ócz naszych wiele łez, chociaż ani ja, ani mateczka nie moglibyśmy powiedzieć, dlaczego spływające po licach łzy, były gorzkie i przepełnione smutkiem. Co zaś do przedmiotów, zamkniętych w opieczętowanym pakiecie, przypuszczam, że ojciec wyraziłby się o nich prawdopodobnie jaśniej, gdyby się nie lękał, że list może być w drodze przez kogoś obcego przejęty, albo doręczony pod niewłaściwym adresem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z powyższych dwudziestu wyrazów wyrzucić sześć, z pozostałych zaś czternastu wyjąć po jednej głosce i utworzyć z nich znane przysłowie

Juno, taki, kocz, wosk, ryba, mózg, koło, rosa, szał, wróg, sowa, wata, mora, grad, grog, dola, łuna, zlot, kura, rama.

Logogryf.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Środkowy rząd odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam przyczynę nieporozumień pomiędzy dwoma państwami bałkańskiemi.

— □ —
— □ —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Krzewy ogrodowe. 2. Ciało lotne. 3. Jedno z księstw, wchodzących w skład Rumunii. 4. Miejscowość grecka sławna w historyi.' 5 Lekarz 6. Stopień turecki. 7. Zwierzę z rodziny przeżuwaczów 8 Przyrząd sportowy 9. Inaczej lód 10. Bogini myśliwstwa. 11 Znakomity Grek, bohater z pod Maratonu. 12. Inaczej pomyślność.

Szarada.

Ułożył Staker z Krakowa.

Jest litera po literze
W parlamencie udział bierze.

Szarada.

Ułożył Staker z Krakowa.

Jeśli całość wprost się czyta,
Śpiewak z dawnych czasów,
Jeśli znów wspak, to bandyta,
Chowa się wśród lasów.

Szarada.

Ułożył Staker z Krakowa.

Skoro *całość* spokoju
W swym domu znajdujesz
Składasz go na *wspak całośc*
Żony, czem ją trujesz.

Łamigłówka.

Ułożył Kamil z Radziszowa.

Podane wyrazy uzupełnić. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy zdarzenie z dni ostatnich.

Ra —
Bu —
— ko
— il
— os
Ew —
To —
— on
— ak
To —
— ra
— zy
Re —
Le —
— le
— ez
— en
Le —
Sn —

Łamigłówka.

Ułożył A i M. K Kraków.

Początkowe litery, czytane z góry na dół po uzupełnieniu wyrazów. podadzą imię i nazwisko polskiego powieściopisarza (pseudonim).

— rody
— rgan
— uter
— gipt
— ucha
— osoś
— teny
— iluo
— itya
— uryk
— pita
— ulla

Arytmogryf.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Cyfry zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, i ostatni w tym samym porządku, podadzą nam znane polskie przysłowie.

7	1	12	6	9
1	11	13	14	11
12	1	8	5	4
17	1	15	10	3
2	11	9	7	14
1	11	7	1	13
2	1	8	3	16

Znaczenie wyrazów: 1. Znany tłuszcz. 2. Imię męskie. 3. Przyrząd do jazdy 4. Inaczej zajęcie. 5. Tego potrzeba, gdy kto choruje na nerwy. 6. Tego potrzeba w czasie wojny. 7. Zgraje ludzi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *ks. S. Barącza:* **Pamiątki buczackie.**

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Irenie. Nie ulega wątpliwości, że można spowodować porost włosów, o ile nie zanikła jeszcze t. zw. cebulka włosowa. Chodzi tylko o środek wzmacniający włosy i niszczący łupież. Takim właśnie środkiem, przygotowanym przy udziale sił lekarskich, jest esencya i mydło tataro-chmielowe.

Mydło przetłuszczane tak toaletowe, jako też lecznicze Centraln. Labor. Chemiczn. mają właśnie wszystkie zalety, jakich wymaga racyonalna dermatetorapia.

Kupcowi. Mydło wyrobu Centraln. Laborat. Chemiczn. w Warszawie, jak skonstatowało wielu lekarzy, są niezrównane, zmiękczają i oczyszczają skórę, przyczyniają się do jej odświeżeenia i wzmocnienia, niszczą wszelkie materye, przeszkadzające wyziewowi przez pory. Orzeczeniami chętnie służymy.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.